№ 46. Warszawa, dnia 17 (5) Listopada 1888 r. Rok VIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

WYBORY POZNAŃSKIE.

Rezultat wyborów sejmowych w Poznańskiem i Prusach zachodnich, który Kołu polskiemu wrócił dawną liczbę jego posłów (15), chociaż, jak zobaczymy, jest zwycięztwem dla żywiołu polskiego niezbyt pomyślnem, zdumiał wszakże niemców. Bo gdzież plon z posiewu germanizacyi ziemi kosztem 100 milionów marek, gdzie wyniki nowego podziału okręgów wyborczych, zapewniającego przewagę niemcom, gdzie skutek wygnania 30,000 niewinnych ludzi? Gdyby chociaż zdobyto jeden mandat! I ten okruch, oprawiony w złoto mów landrackich i artykułów prasy gadzinowej, błyszczałby dumnie i rozweselał swem światłem serca zacnych cywilizatorów. Tymczasem żaden kąsek nie padł w gardziel smoka, który musiał poprzestać na połknięciu śliny. Do Poznania przyjeżdżał nawet dowódca narodowo-liberałów, Hobrecht, który zamieniwszy mundur ministeryalny na suknię Arbueza, zachęcał swych rodaków do walki z kacerzami politycznymi; dokazał wszakże zaledwie tyle, że wybrano postępowca, któremu polacy, nie mogąc przeprowadzić kandydata własnego, darowali kilka swoich głosów. Wogóle rzec można, że i komisya kolonizacyjna i administracya, przykręcająca szruby maszyny wyborczej na zgniecenie ludności rodzimej, doznały srogiego zawodu.

A mimo to tryumf prześladowanych nie nastraja do wesela i wygląda tak, jak gdyby był jednym z ostatnich, jak gdyby niósł już w swem łonie zarody przyszłych klęsk. Przedewszystkiem smutna i groźna zapowiedź wystąpiła w znacznem zmniejszeniu się liczby głosów polskich. Nie jest to zaś lekceważenie obowiązku, gdyż w wyborach przyjęło udział 98% ludności— stosunek innym prowincyom Niemiec całkiem nieznany — ale ubytek sił. W okręgu średzko-śremsko-wrzesińskim liczba wyborców w porównaniu z r. 1885 spadła o 75 — na 441! W powiecie gnieźnieńskim przed trzema laty było ich 156, a niemieckich 78, obecnie naodwrót.

Spotykamy przytem objaw całkiem naturalny. Jak wiadomo, prawyborcy pruscy (którzy głosują na wyborców właściwych) ugrupowani są w trzech klasach. Otóż klasa pierwsza (płacąca najwięcej podatków), do której przeważnie należą właściciele większych dóbr ziemskich, zmniejsza się w Poznańskiem stale a niedługo zapewne prawie całkiem utonie w worku komisyi kolonizacyjnej. Natomiast klasa druga (zamożniejsi rzemieślnicy i włościanie) równolegle wzrasta. Klasa trzecia, najbiedniejsza, była i jest swojską. Z tego obrazu widzimy, na kim spoczywa przyszłość tej dzielnicy i komu ona zawdzięczać będzie swój charakter narodowy, jeśli go utrzyma. Społeczeństwo zamiera tam od góry, od głowy. Warstwy górne gniją i wynaturzają się, tylko średnie i niższe pozostają zdrowe. Gdyby tedy Poznańskie było w posiadaniu szlachty, już obecnie stałoby się wielkim cmentarzem politycznym, zoranym przez pługi i obsianym przez ręce niemieckie.

Fakt ten tak dalece druzgocze wszystkie teorye szlacheckie, tak wyrywa z pod nóg grunt apostołom „naturalnego przewodnictwa," że dziwić się trzeba, skąd oni czerpią odwagę do dalszych uroszczeń. Jeżeli w tej sprawie były jeszcze jakieś wątpliwości, to życie usunęło je zupełnie. Szlachta w ciężkich walkach o ziemię i byt społeczeństwa nie dotrzymuje placu i, ratując interes własny, ucieka gromadą z posterunków zagrożonych. Na jej męztwo, wytrwałość, poświęcenie się dla dobra ogólnego tylko wyjątkowo liczyć można. Jednostki, spełniające swój obowiązek, należą już śród niej do bohaterów.

Dodać należy, że nawet owo względne zwycięztwo żywiołu polskiego w Poznańskiem i Prusach zachodnich byłoby niemożliwem, gdyby dzięki Fryderykowi III p. Puttkamer nie znajdował się „w stanie spoczynku." Gazety miejscowe jednogłośnie przyznają, że jakkolwiek p. Herrfurth, obecny minister spraw wewnętrznych, wprawił w ruch maszynę administracyjną, nie nadał jej tej siły w gwałceniu swobody wyborów, co jego poprzednik. Naturalnie, wielkorządca polityki niemieckiej ze swych obłoków we Fridrichsruhe dojrzy tę słabość ministra i postara się, ażeby ona za lat pięć nie udaremniała jego zamiarów. Ale tymczasem przez lat pięć — jeżeli nie zajdzie potrzeba rozwiązania sejmu — Koło polskie istnieć będzie w swym składzie obecnym.

Czy w niem objawia się bodaj jeden umysł mocniejszy, zdolny sprowadzić swych towarzyszów z wydeptanego gościńca bezpłodnych protestów i kornej służby w obozie centrum? Wątpimy. Sprawy Poznańskiego potoczą się dawną koleją. Od czasu do czasu usłyszymy tęskne lamenty, na które — jak mówi p. Domarat w *Kraju* — już nawet nikt nie odpowiada, ujrzymy teatralne zawijanie się w togi lub rozdzieranie szat — i nic więcej. Zapewne ciężką jest walka pracy i zabiegów z taką potęgą, jak Niemcy, ale też Goliat nie ma tam swego Dawida, a Cerber — Herkulesa. Są tylko ludzie, układający z siebie żywe obrazy patryotyzmu według wzorów tradycyjnych, według szablonu. Dzielnych zapaśników, bohaterów, wodzów — brak. W ich żyłach nie płynie gorąca krew, ale oliwa kojąca sparzelizny i odleżyny. Z takiego widoku nie wystrzeli żaden promień nadziei oświecającej *jutro*, co najwyżej złagodzi dolegliwości *dzisiaj*.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

O obecnej polityce niemieckiej powiedzieć można, że geniusz z niej wyparował, pozostał tylko mętny osad kaprysów despotycznych. Zarówno wewnątrz, jak zewnątrz stary Jowisz zrzędzi, kłóci się, rozpuszcza cały swój mózg w drobiazgach. To w *Nordd. Allg. Zeitung* pisuje obelżywe artykuły przeciwko Francyi i nazywa ją krajem zdziczałym za to, że paru urwisów zerwało szyld konsula niemieckiego; to daje znaki mimiczne gadzinowcom, kiedy mają sykać przeciw rublowi; to każe robić rewizyę u przyjaciela cesarza zmarłego; to wreszcie zakazuje trzymać w wystawach sklepowych portretów Fryderyka III. Ostatnie to rozporządzenie z początku wydało nam się złośliwą plotką. Boć logicznie biorąc, czy podobna przypuścić, ażeby w państwie monarchicznem zabroniono ukazywać wizerunków zmarłego cesarza, ojca monarchy panującego obecnie, ażeby polecono w sklepach utrzymywać księgi, w których kupujący fotografie mają wpisywać swe nazwiska? *Unglaublich*—co się dzieje w królestwie „bojaźni bożej i dobrych obyczajów!“ A jak z tego wyłazi wszystkiemi szczelinami małość lub starość!

Tradycyjne przekonanie, że niemcy są niezdolni do kolonizacyi zamorskiej, zaczyna się znowu sprawdzać. W ostatnich latach zapomnieli o niem; ogarnęła ich gorączka łapania tych kawałków ziemi, które nie miały jeszcze uprawnionego stosunku zależności od państw ucywilizowanych. Zajmowali wyspy i pobrzeża, osiedlali się skwapliwie wszędzie, nawet tam, gdzie nadzieja korzyści była niemal wyłączoną, w tej grabieży narażali się na starcia i procesy międzynarodowe (wyspy Karolińskie) —ale ciągle szli naprzód. Z tym uporem, który zawsze charakteryzował Bismarka a obecnie działa w nim jako sprężyna główna — budowali okręty, stacye handlowe i... zamki na lodzie. Jeden z nich nagle runął — na wschodniem wybrzeżu Afryki. Tuziemcy, zbuntowani podobno przez handlujących niewolnikami, wzburzyli się i wymietli „kulturträgerów.“ Gorączka kolonizacyjna opadła, bo dojrzano starą niezdolność rasy do takich przedsięwzięć i trudność współzawodniczenia z narodami, bardziej doświadczonymi. Flota niemiecka ma łącznie z angielską nastraszyć dzikusów, ale można wierzyć, że Anglia w tej spółce postara się, ażeby jej sojusznik dobrze poparzył sobie palce.

Znowu kilku francuzów, goniąc postrzelonego jelenia, wpadło na terytoryum niemieckie i znowu jeden z nich otrzymał kulę. Naturalnie *Nordd. Allg. Ztng* wystąpi z dowodzeniem, że Francya — „całkiem zdziczała i opuściła szeregi narodów cywilizowanych.“

Drobne te zatargi coraz ostrzejszym swym przebiegiem zdradzają ciągle nurtujący między dwoma wrogami prąd nienawiści. O ile rozum ludzki przewidywaniami swojemi w przyszłość sięgnąć może, nie dostrzega on w niej możliwości, ażeby chroniczny zatarg Francyi z Niemcami zakończył się bez starcia orężnego. Nieraz zdaje się, że brak w nim tylko ostatniego słowa, wypowiadającego wojnę, że potrzeba tylko jednej iskry, która by ją zapaliła. A pokój ma być „na długie lata utrwalony.“

Zwątpił o tem nawet lord Salisbury, który w ostatniej swej mowie nie mógł stłumić wydzierających mu się z ust tonów obawy. Rozpędzał strachy, uciszał podejrzenia, ale czynił to tak nieszczerze, że słuchaczów swoich do snu ukołysać nie zdołał.

Jakkolwiek formalnie wybór prezydenta Stanów Zjednoczonych nastąpi dopiero w początkach grudnia, skład tego grona, które ma go wybrać ostatecznie, nie pozwala już wątpić, że miejsce Clevelanda zajmie Harisson, przedstawiciel partyi republikańskiej, znanej w dziejach Ameryki z wyzyskiwania urzędów i zepsucia. Zjednała mu przewagę głosów sprawa ceł. Prezydent dotychczasowy chciał je zniżyć i prowadzić politykę wolnego handlu; jego zaś następca pozostanie przy ochronnej. Harisson nie jest dorobkiewiczem politycznym, gdyż jego dziadek był prezydentem (dziewiątym z rzędu); ma lat 55, był naprzód adwokatem, później generałem, wreszcie, zanurzany kilkakrotnie, wypłynął na wierzch partyi republikanów.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

KASY KOLEJOWE.

Urzędnicy naszych dróg żelaznych żywo są obecnie zajęci sprawą zabezpieczenia się na starość, a mają nad czem pomyśleć, gdyż im dano do wyboru dwa rodzaje kas: *emerytalną* i — *przezorności*. Rozpatrzmy ich zasady. Środki obu powstają z jednakich źródeł. Składki osobiste uczestników—6% od pobieranych płac etatowych tudzież dodatków do płac i 10% od wszelkich gratyfikacyj. Prócz tego pobierane będzie jeszcze wpisowe i w razie awansu trzymiesięczna podwyżka pensyi. *Maximum* dopłaty towarzystw kolejowych 3% sumy płac etatowych. Nadto mają jeszcze do kasy wpływać odsetki od pożyczek, udzielanych przez towarzystwo służbie kolejowej, kary od osób pobocznych, nieodebrane od zarządu we właściwym czasie. Procenty z tych trzech źródeł utworzą oddzielny fundusz na wydawanie wsparć i pensyj sierotom po uczestnikach; zyski na obrotach kasy — kapitał zapasowy. Dopłata towarzystwa rozdziela się w każdej kasie inaczej. W emerytalnej w razie potrzeby odkłada się część na pokrycie możliwego niedoboru funduszu sierocego i kapitału zapasowego. Reszta zapisuje się na rachunki uczestników odpowiednio do ich składek osobistych, z uwzględnieniem warunku, iżby maszyniści, ich pomocnicy, palacze, konduktorzy, smarownicy, wagonmajstrzy i hamulcowi, korzystali w większym, niż inni urzędnicy. W kasie przezorności dopłata towarzystwa rozdziela się całkowicie i jednakowo na rachunki wszystkich uczestników. Zasadnicze różnice ustawy są następujące: W *kasie przezorności* uczestnik zdrowy, wydalony przed wysłużeniem lat dziesięciu, otrzymuje całą sumę swych składek z procentem składanym; prócz tego po latach 10 — 50% funduszu uzbieranego na jego rachunku z dopłat towarzystwa i procentu od nich, a z każdym dalszym rokiem 5% więcej, tj. po latach 20 i później — otrzyma fundusz całkowity. Maszyniści i inni, wyliczeni powyżej, po 8 latach służby mają prawo do 51% tego funduszu i za każdy rok dalszy 7% więcej, tj. cały fundusz po 15 latach. Uczestnicy usunięci z powodu choroby lub zniesienia posady, otrzymują wszystkie wkłady osobiste i dopłaty towarzystwa z procentem składanym bez względu na liczbę lat służby. Również do całej sumy mają prawo wdowy i sieroty w razie śmierci uczestnika. Bezdzietni, niezdolni do pracy skutkiem choroby lub nieszczęśliwych wypadków na służbie, oraz nieletnie sieroty po uczestnikach unieździolnionych takim

2)

SZKICE WIEJSKIE.

12. Wera.

Jest więc znowu w Warszawie, koleżanki witają się serdecznie, tęskniły.

Zapewniają, że nic się nie opaliła, że wyładniała, a Wera opowiada im o wsi, o kawalerach, jak jej się napatrzeć nie mogli, nadziwić. Ale — dodaje — to głupi naród!

Pani jeszcze nie wróciła, Wera nie ma żadnej roboty. Gawędzi więc. Schodzą się do niej koleżanki wieczorem i zabawiają się razem: śpiewają, rozmawiają, nawet tańczą.

W całej kamienicy ma pełno przyjaciółek. Nawet panna Mania z pierwszego piętra, najgłośniejsza osobistość w składzie służbowym całego domu, zaznajomiła się z nią bliżej. Wpadła kiedyś o pożyczenie wanienki do ryb.

— Państwo — mówi — bale wyprawiają, ale porządku w domu nie ma; ty sługo leć, pożyczaj!

Wera zgadza się w zupełności na to, że państwo żadnego wyrozumienia dla sługi nie mają. Powiedziały jeszcze o tym przedmiocie kilka słów i pożegnały się.

Odtąd Wera widuje Manię coraz częściej i lubi coraz więcej.

Zaopiekowała się ona Werą, jak rodzoną siostrą: wprowadza ją w świat.

Rzeczywiście jest jej przewodniczką we wszystkiem: uczy czysto mówić, pożycza kwiatów, wstążek, obcięła jej grzywę naokoło głowy.

— Panna Weronika do mnie dziś przyjdzie—mówi kiedyś— będę miała gości; dziś moje imieniny.

Towarzystwo było wyłącznie damskie, same koleżanki. Przyjęcie urządziła solenizantka sute: dała wino, słodką wódkę, owoce, ciastka i herbatę z wędlinami.

Bawiły się wybornie. Śpiewały, co która umiała, opowiadały sobie o narzeczonych. Były i gry. Wera (jak potem opowiadała Tekli z przeciwka), „wydawała“ na taką niewinną, to znaczy, mało mówiła i oczy skromnie spuszczała, a zawsze starała się uśmiechać.

Podobała się ogólnie: osądziły jednozgodnie, że: ta panna ma więcej rozumu od nas wszystkich, a tylko udaje głupią.

Podobno w „toalecie“ (gra) wszystkim delikatnie dociela, że się pudrują, a ona młoda nie potrzebuje żadnych dodatków — prosi tylko o grzebień dla poczesania grzywki. Grzebień wstał, a całe zgromadzenie gry zaniechało.

Pokazywały sobie także listy od „narzeczonych.“ Wera odebrała już kilka od lokaja z pierwszego piętra, ale się nie pochwali.

Tymczasem zaś zachwycona jest rozmaitemi wyrażeniami, przyswaja je sobie: „miłość, zdradził, mamona, rozpacz.“

Zachwycona jest także wierszami panny Mani.

Ona wycina sobie różne z *Kuryerka*, ale panna Mania ma cały kajet przepisanych.

Ach! o tym Henryku, co to nie zdążył do ślubu. Pewno się Werze przyśni.

Chodzi po kuchence i z przejęciem powtarza:

— Henryku, ach śpiesz! śpiesz!

Ma Wera pełną głowę różności, stara się też jak najprędzej wydać choć część z tego.

Opowiadała więc wszystko Tekli z przeciwka. Ona do zabawy nie należała.

Werę martwi tylko jedno przypuszczenie: ona także musi imieniny wyprawić. Nawet panna Mania pytała, kiedy wypadają, którego dnia. Z pewnością przyszle bilet.

Ale Wera nie głupia. Mówi:

— Zjem, kiedy dają, ale sama imienin nie wyprawię, niech tam gadają, co chcą.

A ona ich za co wyprawi? Panna Mania posiada sto rubli na pożyczkach, to ma z czego.

Nadszedł karnawał. Poszła z panną Manią na wieczorek, na drugi z jej koleżanką. Potem Romek wziął ją na wesele swego kolegi. Trzeba było kupić pantofle, kwiaty, wynająć dwa razy sanki. Na weselu na „wiwat“ rzuciła pół rubla, to wszystko przecież kosztuje.

sposobem, mogą otrzymywać wsparcie jednorazowe lub stałe pensye ze specyalnego funduszu. W *kasie emerytalnej* usunięci mają prawo do pensyi dożywotnej w razie posiadania sił po 15 latach uczestnictwa, przy utracie zaś zdrowia — po 10. Wysokość emerytury oblicza się według stosownych tablic, ułożonych na zasadzie rachunku prawdopodobieństwa. Zależy ona również od rozmiarów składek rocznych i wieku uczestnika. Emerytury wcześnie uniezdolnionych do pracy, będą podwyższone sposobem wzajemnej pomocy. Uczestnicy, nieposiadający jeszcze prawa do emerytury, uwolnieni z powodu choroby lub zwinięcia posady, otrzymają całą sumę wkładów z procentem składanym. W razie uwolnienia z innych przyczyn, zwracane im będą tylko składki osobiste, bez procentu. Pewna część wszelkich wpływów na rachunek osobisty uczestnika, zapisuje się na rzecz jego żony i jest podstawą emerytury wdowiej. Tak więc zasadniczą różnicą kas emerytalnych od przezorności jest, iż pierwsze się opierają na podstawie wzajemnego ubezpieczenia, drugie— na zasadzie oszczędności.

Z. P.

SZLACHETNA OFIARA.

Lwów, 10 listopada.

Tyle razy w sprawozdaniach mych z życia tutejszego musiałem wspomnieć o ujemnych stronach naszego społeczeństwa, tak często z konieczności do obrazów tych używałem barw ciemnych, że choćby dla kontrastu zapragnąłem jaśniejszej. To też nieraz z duszy strapionej wyrywał się wykrzyk: dlaczego oni się nie zbudzą z tej martwoty, czemu nie pokażą czynem, że są lepsi, szlachetniejsi? Czy nie czują, że cały świat idzie naprzód, że stać na miejscu nie wolno, bo zgniecie nas nawała silniejszych, zasobnych w nowsze zdobycze postępu?! Nic i nic. Obojętność w sprawach najżywotniejszych, sobkostwo, gonienie za tłustemi posadami i orderami, zgięte karki wobec możnych i potężnych. Dla „ojców narodu“ nic świętszego nad karczmę i gorzelnię, dla innych — całem pragnieniem ciepły i wygodny kącik — reszta to tłum niewolników. Obok tych wszystkich garść wybrańców fortuny, zasobnych w potężne środki materyalne, ale bądź obojętnych dla swojego narodu i z przekonania kosmopolitów, bądź też zaliczających się do rodzaju „nieobecnych,“ trwoniących magnackie majątki wśród obcych i dla obcych. Tymczasem brutalna dłoń germańska wydziera nam ziemię i język, obcy przemysł zalewa kraj, obcy zabierają fabryki, tną lasy, kopią naftę, wynajmując nas na naszej rodzinnej ziemi jako swych robotników. Naokoło tylko smutek bezradnych dzieci, narzekania na ciężkie czasy, wysokie podatki, złe czasy, kiepski popyt, mizerny zarobek — podczas gdy równocześnie Mac Garwey i Bergheim zakupują tysiące morgów podkarpackiej ziemi i miliony rzucają w kanadyjskie studnie, wiedeński fabrykant obuwia wznosi olbrzymie składy w samej stolicy, chałatowi żydzi zaś po całym kraju od wieśniaczek skupują jaja, łowią raki itp. i taki towar krociami wysyłają do Hamburga bez końca.

Więc dla nas niema pola, a dla obcych jest? Więc zawsze mamy słuchać, że obce lepsze, niż nasze — więc zawsze u nas przemysł i rękodzieła będą w pieluchach, a obcy naszą krwią i potem wzbogacać się i z płodów naszej ziemi nadmierne zyski wyciągać będą?

Głos jeden i drugi powiada: trzeba nam dźwignąć przemysł domowy, trzeba założyć szkoły przemysłowe, wesprzeć zdolnych i pilnych pracowników. Wszyscy temu przyklaskują, rząd autonomiczny i niemiecki przyrzekają najgorętsze poparcie. Ale za tem idą czyny: większość sejmowa chce obciąć skromny budżet na cele wsparcia przemysłu, a ministrowie grzecznie odpowiadają, że o szkołach przemysłowych dla Galicyi nieustannie myślą, lecz względy finansowe, zwłaszcza wzmagające się potrzeby wojskowości muszą być na pierwszym planie. Zachwyt ogólny, jak też rząd nam sprzyja, jak życzliwie mówili ministrowie o Galicyi — naturalnie, że poczekamy.

Ale czas nie czeka. Z wszystkich kątów wyglądają łachmany i nędza. Tysiące tysięcy posępnem okiem patrzą w przyszłość i rozpacznie załamują dłonie. Żebyż choć jedna gwiazdka zabłysła na mrocznym horyzoncie!

Są jeszcze szlachetni.

W chwili, gdy wydział krajowy dla przypodobania się monarsze na uczczenie 40-letniego jubileuszu jego panowania ustanawia dwanaście miejsc fundusżowych w zakładach wojskowych i na takie cele obowiązuje się corocznie składać tysiące, wyciśnięte z naszej nędzy, lwowska kasa oszczędności ofiaruje 400 tysięcy złr. na wybudowanie i założenie szkoły przemysłowej we Lwowie, a tutejsza rada miejska oddaje na ten cel plac wartości przeszło stu tysięcy złr. A więc są jeszcze szlachetni, migoce już jakaś gwiazdka na ciemnem tle nieba.

Czekajcie; to były ciała zbiorowe, to grosz ogółu. Patrzcie na obcych: tam biskup Diakowaru sypie krocie na dźwignięcie oświaty narodowej, wygnany pretendent do tronu francuskiego miliony darowywa wypędzającym go spółziomkom, skromny czech, o którym nikt przedtem nie słyszał, dwakroć sto tysięcy złr. oddaje na założenie czeskiej Akademii umiejętności. Gdzież nasi Potoccy, Czartoryscy, Sapiehowie, Zamojscy, Sanguszkowie itd. itd. Nie mogą — przyjmowali w swych pałacach monarchę, potem następce tronu; ciężkie czasy, sami muszą się ograniczyć po tych szalonych a koniecznych wydatkach.

Zawstydza tych przedstawicieli rodów „historycznych“ jedna szlachetna kobieta. Społeczeństwo nasze prawie jej nie zna. Po raz pierwszy usłyszało o bogatej hrabinie z Paryża przed kilku laty, gdy uniesiona szlachetną wspaniałomyślnością, czy też fantazyą magnatki, biednego imiennika zrobiła ordynatem Czarkowskim. Początek był dobry. Uszczęśliwiła jednostkę i snadź obudziło się w niej pragnienie dobrych czynów i dla ogółu. Niedawno sto tysięcy złr. złożyła na wsparcie naszego przemysłu i rękodzieł, teraz na fundacyę wydziału krajowego odpowiedziała wedle swego sposobu myślenia.

Dwa dni dopiero ubiegły, a już wieść nowego, wspaniałego i szlachetnego czynu hrabiny Felicyi Maryi z Golejewskich Czarkowskiej szerokiem echem rozbrzmiała po kraju. Pełnomocnik jej złożył dwa kroć sto tysięcy złr. na fundacyę jej imienia, przeznaczoną dla rękodzielników i przemysłowców polskich, którzy w kraju i dla kraju na tych polach pracować pragną.

Cel ten fundacyi dwojaki: po pierwsze, wesprzeć tych, którzy chcą się oddać rękodziełom i przemysłowi, a nie mają środków, aby się należycie w tym zawodzie wykształcić teoretycznie i praktycznie; powtóre dopomódz tym, którzy nabywszy na-

---

Stach nie chciał jej kiedyś otworzyć bramy.

Mówi: macie na zbytki, wracacie po nocach, możecie i stróżowi dać dyskę. Naturalnie, że dała.

O! odmieniła się teraz Wera.

Przyjaciółki, nowe znajomości i nowe życie wywarły wpływ na dziewczynę.

Grzywę przypieka kilka razy dziennie, ściska się gorsetem i mówi zawsze szeptem. Tłomaczy sobie, że choć co źle powie, to mniej będzie raziło.

Piosenki dawne nie podobają się jej teraz. Śpiewa po całych dniach:

> Mama się gniewa, rączkami macha,
> a ja się śmieję, ha, ha, ha, ha, ha!

albo kawałki z Gasparona.

Stach robi jej uwagę, że niepotrzebnie zapatruje się na te stare kulbaki.

— Po co wam ta grzywa! wyglądacie, jak pudel.

Ale Wera nie wierzy; jest przekonaną, że jej tak ładniej. Przynajmniej ta „donica“ (twarz) wydaje się mniejsza.

I listy ze wsi zaczynają gniewać ją. Ciągle jedno wkoło: pozdrawia ten pannę Weronikę, kłania się i pozdrawia ów, pozdrawiam cię córko najmilsza—i tak trzy strony pozdrawiań.

— Już ja im napiszę — mówi — że: mata pisać, to piszta jak się należy, a jak takie banialuki, to nie piszta wcale.

Sama zaś cały wieczór siedzi nad listem. Zaczyna go od wierszy i kończy rymowanem pożegnaniem. Czytała już tyle listów od różnych narzeczonych, że przyswoiła sobie styl elegancki. Ma tylko pewne obawy, czy te bąki wiejskie zrozumieją jej pisanie i ocenią należycie.

O! ta Warszawa, ta Warszawa, a ten karnawał w Warszawie!

Wesoło. Wera co niedziela tańcuje, nawet i w powszedni dzień trafia się wieczorek.

— Jak pani pozwoli, to dobrze; a jak nie, to ona i tak potrafi wyjść, jak „stara“ uśnie.

A służba szwankuje!

Werę to jednak mało obchodzi.

— Pani zmrowiła się, zrzędzi dzień i noc.

Ale Wera daje sobie radę. Jeśli usieka źle mięso, to nie da pani do słowa przyjść. Krzyczy:

— Niech pani sprawi maszynkę, to ja mięso zmielę, a tasaczyskiem dobrze nie usiekam. U Fyśrów Rozalia sześć funtów mięsiska posieka, nie wyżyłuje i zdziałduję, a pani zawsze źle.

Garnki bywają brudne, nie myje ich czasem kilka dni, bo i czasu nie ma. Radzi pani spróbować samej, to się przekona, czy puszcza. Ona i sodą wygotowała, ale im już sam dyabeł nie pomoże; takie poprzepalane!

Korzysta wiele z doświadczenia i praktyczności panny Mani.

Ta zawsze powtarza:

— Moja pani, to się na psa zdało być długo u jednych państwa. I państwo się do sługi spodufalą i sługa do państwa.

Ona co prawda jest już ośm lat u swoich, ale właśnie widzi, że to na nic.

— Tyle, żem te sto rubli okulgnęła, a żebym tak brała koszykowego, jak inne, tobym dziś trzysta miała.

Wera się bardzo dziwi. Byłaby przysięgła za pannę Manię, że ona grosza cudzego nie ruszy.

— To pani chyba na spowiedzi nie mówi o koszykowem.

— A jakże, powiedziała, ale ksiądz kazał oddać co do grosza, a czy ona jest w stanie oddać, kiedy już rozpożyczyła. Zresztą, czy może spamiętać, ile tam tego było!

Teraz nie bierze już ani grosza.

O! Wera widzi, że te wszystkie przyjaciółki nie takie, jak jej się wydało.

Każda właśnie bierze pańskie, jak swoje własne. Nawet ta nabożna Rozalia, to odda reszty, ile jej się podoba, a gdy pani wylicza:

— No, no — mówi— przez rachuby! Tylem wydała, a reszty tyle jest i nie przybędzie, abo pani liczyła, abo nie.

Albo Tekla! Ta bez wahania bierze, ile się da.

— A jabym z tej pensyi wystarczyła na wszystko? Od dziecka płacę dwanaście rubli, a sama mam 15, to teraz za te trzy ruble kwartalnie, co ja sprawię!

Wera milczy, nie peroruje; wie, że nie posłuchałaby jej; ale w swojej kuchence za głowę się bierze.

Dopiero to dziewki bez sumienia!

Chyba żadna z nich umierać nie myśli.

łożytego wykształcenia, nie mogą dźwignąć się samodzielnie dla braku funduszów. Fundacya złączona z poprzednią, przyniesie rocznie już teraz co najmniej 15,000 złr. czystego dochodu. Połowa przeznaczona na stypendya dla kandydatów do zawodów przemysłowych, a w szczególności dla tych, którzy pragną poświęcić się rękodziełom następującym: stolarstwu, tokarstwu, snycerstwu lub rzeźbiarstwu w drzewie; kowalstwu, ślusarstwu, mosiężnictwu, brązownictwu, złotnictwu lub innym zajęciom w dziale przemysłu metalowego; tkactwu i farbiarstwu, koronkarstwu lub hafciarstwu; garncarstwu, kamieniarstwu i rzeźbiarstwu dekoracyjnemu; malarstwu dekoracyjnemu; introligatorstwu lub fabrykacyi drobnych wyrobów galanteryjnych; tapicerstwu i dekoratorstwu; kołodziejstwu i fabrykacyi powozów; zegarmistrzostwu (art. IV). W ten sposób objęła fundacya dziesięć głównych oddziałów rękodzielnictwa, tak bardzo dotychczas u nas zaniedbanego.

Stypendya będą udzielane kandydatom kształcącym się w szkołach i pracowniach rękodzielniczych lub przemysłowych, czy to w kraju, czy za granicą, oraz tym, którzy po ukończeniu wykształcenia fachowego chcą zwiedzić i badać szkoły zagraniczne i zakłady rękodzielnicze lub przemysłowe.

Kandydujący o stypendyum takie musi wykazać ukończony 14 rok życia, być narodowości polskiej, obrządku rzym. lub grecko-katolickiego, oraz otrzymywać naukę w szkole przemysłowej lub odbywać praktykę rękodzielniczą w pracowni, której świadectwa mają znaczenie świadectwa szkolnego i prowadzić się moralnie.

Stypendyum na fachowe kształcenie się za granicą może otrzymać tylko taki kandydat, który uzyskał w kraju uzdolnienie do praktycznego wykonywania obranego zawodu. Pomiędzy kandydatami równej kwalifikacyi fachowej otrzyma pierwszeństwo ten, kto udowodni wyższy stopień ogólnego wykształcenia i znajomość języków obcych. *Talent artystyczny lub dowody samodzielnej pomysłowości kandydata mają być poczytywane przy rozdawnictwie stypendyów, jako przymioty szczególniej zalecające.*

Druga połowa czystego dochodu fundacyi ma być obracaną na zasiłki dla kandydatów do jednego z powyżej wymienionych zawodów, którzy ukończyli z dobrym postępem naukę w szkołach rękodzielniczych lub przemysłowych, posiadają wymaganą ustawą przemysłową świadectwo uzdolnienia fachowego i chcą otworzyć samoistną pracownię. Zasiłki będą im udzielane na koszta zaopatrzenia się w potrzebne przybory i narzędzia, tudzież na pierwszy zapas materyału. Zasiłki te mają być zwrotne, lecz bezprocentowe. Spłata ich zaczyna się dopiero po roku po podniesieniu pożyczki i może być rozłożoną do lat pięciu w ratach o ile możności najdogodniejszych dla pożyczającego. Przy rozdawaniu zasiłków winni być przedewszystkiem uwzględniani stypendyści.

Stypendya pojedyncze wynosić będą po 300 do 1,000 zł. Stosownie do tego, ile wynosić może roczny koszt utrzymania ucznia w obranym zakładzie.

Dla uczniów kształcących się w zakładach naukowych w kraju nie mogą one wynosić więcej jak 500 zł. Stypendya zagraniczne będą dawane na rok jeden, wrazie potrzeby atoli mogą być przedłużone i na trzy lata. *Stypendyści i obdarzeni zasiłkiem w założeniu warsztatu zobowiążą się piśmienną deklaracyą, że wykonywać będą rękodzieła lub przemysł w kraju najmniej przez 10 lat*, a w razie przeciwnym zwrócą fundacyi pobrane stypendyum lub zasiłek z 6 prc. odsetkami.

Nadawanie stypendyów i zasiłków odbywać się będzie w drodze konkursu, który rozpisuje Wydział krajowy *za porozumieniem się z komisyą krajową dla spraw przemysłu domowego i rękodzielniczego lub innego krajowego organu fachowego dla spraw przemysłowych*, który miałby zastąpić jej działanie. W szczególności należałoby do komisyi krajowej dla spraw przemysłu domowego i rękodzielniczego oznaczyć na każdy rok przeznaczenie stypendyów, a to stosownie do każdoczesnej potrzeby przemysłu w kraju, *ażeby te rodzaje rękodzieł doznawały poparcia, które dla kraju najbardziej są potrzebne.*

Rozdawnictwo stypendyów i zasiłków ma być dokonywane po zasięgnięciu opinii krajowej dla spraw przemysłu domowego lub rękodzielniczego przez każdoczesnego posiadacza ordynacyi familijnej im. Czarkowskich.

Oto treść postanowień szlachetnej fundatorki. Nie dla wsparcia próżniaków herbowych, jak zazwyczaj w szumnych postanowieniach aktów fundacyjnych stypendyów „dla dawnej szlachty polskiej, krewnych X-a itd.," nie dla śpiewaków i śpiewaczek, popisujących się po za granicami kraju, a wykształconych za pieniądze krajowe, nie na miejsca funduszowe po obcych zakładach wojskowych, nie na fantazye wielkopańskie, opisywane w paryskim *Figarze*, ale na zasadnicze potrzeby naszego kraju, na rozwinięcie i poparcie marnujących się talentów, dźwignięcie kiełkujących słabo rękodzieł i przemysłu, wspomożenie kraju i dla kraju — to cel hojnego zapisu.

Wierzę, że ta kobieta, choć należy do „nieobecnych," duszą należy do kraju, odczuwa jego potrzeby i czynem swym zawstydza innych przodowników narodu, na wsze strony głoszących swoje dziejowe posłannictwo. Przyszłość odpowie swym sądem, a ja nie wątpię, że nie oni, mimo historycznych imion, wejdą do Panteonu.

Leszek.

Dr. WARSCHAUER.

(Wspomnienie pośmiertne).

Ile razy rozprawy w krakowskiej Radzie miejskiej toczyły się na tle podnioślejszem, ile razy na porządku dziennym stała sprawa społeczna, ważna i niedotycząca tego, czy p. X. lub Y. pójdzie w deputacyi, ofiarującej jakiemuś hrabiemu czy biskupowi dyplom honorowego obywatelstwa, zawsze podnosił się i zabierał głos człowiek, już podeszły i pochylony brzemieniem lat sporem. Oblicze jego nosiło wybitne piętno żydowskiego pochodzenia, a słowa polskie z pewną trudnością wydobywały się mu z ust. Lecz za to treść jego mowy promieniała zawsze blaskiem prawej zacności i szlachetnego rozsądku. A gdy mu raz któryś z panków zarzucił, że nie mówi czystym akcentem, odrzekł: „Panie hrabio, że pan mówisz po polsku, to nie stanowi twej zasługi, to twój obowiązek. Ze mną ma się rzecz inaczej. Ja w młodości byłem prostym, biednym żydkiem i nigdy nie słyszałem polskiego słowa, tylko zawsze rodzinny żargon. Należę bowiem do pokolenia, które jeszcze uginało się pod ciężarem rozmaitych nieludzkich ograniczeń. Mało który z panów radców pamięta, jak nam, żydom, nie wolno było mieszkać w mieście, jak mogliśmy do Krakowa z Kaźmierza *)

*) Kaźmierz — nazwa dzielnicy żydowskiej w Krakowie.

Już teraz rozumie, że Stach miał racyę, wszystko gałgaństwo!

Po jakimś czasie zaczyna z pogardą mówić o swojem zajęciu, nawet się nie przyznaje, że jest kucharką.

— „Kotlet" — mówi — to najgorsza profesya; jestem „młodszą."

A na targu nieraz skłóci się z rzeźnikami. Kiedyś jej powiedzieli.

— Utargujesz ten grosz, dwa, nie dla pani, dla siebie, dla swojego fagasa na papierosy!

Wera aż się zatrzęsła.

— Ty złodzieju — krzyczy — gorszego nie ma! Okpiwasz na wadze, na czem możesz; szachrujesz na dwoje, dla siebie i dla żyda, ty żydowski posługaczu!

Odtąd przestała chodzić na targ Grzybowski.

Zarzeka pani, że tam mięso gorsze i stare, a ona woli nie wiedzieć jak daleko lecieć, byle nie na Grzybów.

Z panią stosunek dziwny, niejednostajny. Wera o niej mówi u magla.

— Ta moja „stara," to dopiero głupia, ani się ustroi, ani zabawi, tylko siedzi i robotę dudle. Już taka jest niemrawa, że opowiedzieć trudno. Ja jej głupstw nagadam, a ona tylko drzwiami trzaśnie.

Któraś z koleżanek przepowiada, że może i pannę Weronię trzasnąć.

Ale Werze oczy zaświeciły.

— Ona mnie! ona! ja bym jej trzasła, niechby spróbowała! Oddałabym! jak Boga kocham oddałabym, cobym w ręku miała, oddałabym tem.

O! z pewnością-by oddała. Onaby rodzonej matce uderzenia nie zapomniała, do śmierci-by nie zapomniała.

— O! moje panie kochane, już ja to robię, co tylko chcę. Wszystko mam pod swoją ręką: i masło, i węgiel, i żywam, ile mi się zdaje. Kiedyś starej przyszło do głowy, że za dużo węgla wychodzi, że kubełek byłoby dosyć, a ja jej kubełek cisnęłam pod nogi. Mówię: niech pani inna sługa gotuje obiad przy takiej kruszynie, bo ja tam nie umiem. O! już ona ma ode mnie za swoje.

Śmieją się wszystkie.

Wera prawdę opowiadała, rzeczywiście nigdy swej „starej" nie daje „naprzód."

Niekiedy jednak i na nią przychodzą chwile rozrzewnienia, lubi wtenczas i swoją panią. Opowiada jej o balikach, o zabawach i o swojem Zalesiu.

Słucha muzyki, chwali, co jej się podoba.

Wtedy wszystko idzie w zapomnienie. Nietylko urazy, ale i robota.

Śmieci zostają w kątach, kurz na meblach. Naprożno pani woła.

Wera mówi:

— Zaraz, zaraz tylko skończę. To proszę pani ten Marcel z Zalesia, to taką polkę trzęsionkę wygrywa na harmonii, że same nogi latają. Pani-by ja zaraz wygrała na fortepianie, żebym tylko przypomnieć mogła. I wyśpiewuje najrozmaitsze kuranty.

Dobrze było obu w takich chwilach.

Szkoda jednak, że w końcu drugiego roku chwile te trafiają się coraz rzadziej.

Werę irytuje mała pensya. Trzy ruble miesięcznie, a pracy na dwie.

Ona jedna w całej kamienicy taką małą pensyę bierze. Codzień mówi pani o tem i wzdycha. Pani znów tłomaczy się, że Wera prać nie umie.

Ale Wera i na to znalazła sposób. Pójdzie na miesiąc do pralni i nauczy się.

Potem zgodzi się do bogaczów. Zawsze ma chęć zobaczyć takie wielkie państwo i szyk.

Tymczasem zaś bawi się, jak dawniej. Już i sama chodzi na tańce. Kiedyś wynajęły we trzy sanki i pojechały na salę wiedeńską. Wera z wieczora wróciła odurzona i zachwycona. Sala ogromna, podłoga jak lustro. Lokaje posługują, a kawalerzy! Jacy delikatni, każdy „wydaje" na panią; nie hałasują, grzeczni. Szczególniej przyjaciel Romka, krawiec. Nadskakiwał jej, chciał fundować pomarańcze; zaopiekował się niemi: przy wyjściu poszukał okryć. Zaraz znać wychowanie! Opowiadał też Werze o karnawale, o maskaradzie: pytał, czy i ona nie pójdzie i w jakiej będzie „masce." Zmówili się nawet, że ona-by go mogła znać, bo on ma stryjka w miasteczku, blizko Zalesia.

Może go kiedyś widziała, bo on tam „bawiwał."

Ale Wera zarzeka, że nie. Poznałaby go odrazu, a w myśli dodaje:

przychodzić tylko za interesami na kilka godzin. Ciężka kara czekała takiego, któryby pozostał tutaj po zachodzie słońca. Kto nie chciał być kupcem, kto nie miał w przyszłości stykać się z tutejszą ludnością, ten wcale nie zadawał sobie trudu zapamiętania kilkuset najpotrzebniejszych słów polskich. Ci, którzy chodzili do gimnazyum za ostatni częstokroć grosz rodzicielski, jak ja naprzykład, także nie potrzebowali mówić inaczej, niż po niemiecku, jako językiem i urzędowym i wykładowym. Rząd austryacki bardzo niechętnie patrzył na tych z nas, którzy uczyli się po polsku. Byli tacy, którzy ulegali, lecz byli znowu i inni, a ja do nich należałem, którzy gorliwie uczyli się języka polskiego i literatury. Pamiętam, ile ja to nocy przy łojówce, senny i zziębnięty, przepędziłem nad gramatyką polską, a potem nad *Panem Tadeuszem*. Z pewnością więcej razy w życiu czytałem ten cenny utwór, aniżeli pan hrabia."

Śmiało można przypuścić, że dr. Warschauer miał słuszność w tym ostatnim punkcie.

Jako lekarz, dobił się on wziętości i uznania w Krakowie, zasłynął jako dobroczyńca biednych, jako gorliwy pracownik społeczny, jako przykład dla wszystkich żydów galicyjskich. To też zbierał owoce tego szacunku publicznego w postaci mandatu do Rady miejskiej i do rozmaitych komitetów, tak licznych w Galicyi, a mających rzekomo pomagać ciałom prawodawczym i autonomicznym w pracy społecznej.

I wśród żydów, którzy z biegiem lat pozbywali się skłonności niemieckich, zajmował wydatne stanowisko. Rzec nawet można, że był głową i przywódcą stronnictwa żydów, którzy otrząskali się z wpływów wiedeńskich.

Czytelnicy *Prawdy* mieli sposobność poznać w przeszłym numerze dążenia przeważnej części galicyjskich żydów; z dążeniami temi ustawicznie Warschauer walczył słowem i czynem. Jego też stawiano za przykład dorastającym pokoleniom.

Niech te słowa tedy zastąpią choć w części ową garść ziemi, którą rzuciłbym, w razie obecności, na trumnę tego, który mimo chłodu i głodu siadywał w nocy przy łojówce nad *Panem Tadeuszem*.

A. N.

SPRAWY EKONOMICZNE.

UDOGODNIENIA DLA ROLNIKÓW.

Komisya pracująca nad środkami przeciwdziałania przesileniu rolniczemu, rozpoczęła swe czynności, które podzielono w następujący sposób: 1) Produkcya zboża i środki podniesienia gospodarstwa. 2) Sposoby ułatwienia przewozu produktów gospodarczych. 3) Sposoby wprowadzenia porządku do zewnętrznego i wewnętrznego handlu zbożowego. Dla zebrania niezbędnych szczegółów, komisya odniosła się do zarządów ziemskich z żądaniem dostarczenia wiadomości o stanie dróg w rozmaitych guberniach. Po zebraniu odpowiedniego materyału można będzie wnosić o konieczności budowania dróg podjazdowych do stacyj kolei żelaznych i przystani statków parowych, kosztem miejscowym lub bez pomocy skarbu lub też z jego udziałem. W sprawie utworzenia kredytu dla rolników urządzono, iżby Bank państwowy dyskontował weksle posiadaczów ziemskich, prowadzących gospodarstwo na własną rękę, na mocy przepisów ogólnych. Dla tychże rolników otwarty będzie w Banku państwa rachunek bieżący (*on call*), zabezpieczony aktem zastawnym na posiadane majątki. Prócz tych udogodnień, ma być utworzony specyalny rodzaj kredytu na zastaw zboża, machin rolniczych, z tym warunkiem, że chociaż owe ruchomości nie będą przenoszone do składów Banku i pozostają w rękach dłużników, ci jednak będą kryminalnie odpowiedzialni za całość zastawu. Sprzedaż z wolnej ręki zastawionego zboża można dokonać tylko za wiedzą i zgodą Banku państwa, który natychmiast po sprzedaży należność swą otrzyma. Z tego rodzaju kredytu mogą także korzystać gminy włościańskie; muszą jednak urządzić w tym celu spichrze dla zsypywania zboża, zabezpieczającego wierzytelność bankową.

WIELKIE PRZEDSIĘBIORSTWO.

Ważne dla naszych wytwórców wiejskich wiadomości dochodzą z Londynu. Więksi przemysłowcy tamtejsi mają zamiar zawiązać towarzystwo udziałowe z olbrzymim kapitałem, w celu zaopatrywania mięsem ruskiem ważniejszych rynków angielskich. Założyciele mają zakupić w różnych miejscowościach Rosyi wielkie obszary ziemi, zaopatrzyć się w zdolnych agentów dla zakupu bydła, oraz zaprowadzić wzorową hodowlę. Bydło wykarmione będzie gromadzone w rzezalniach tegoż towarzystwa, obsługiwanych z początku przez anglików. Przedsiębiorcy będą posiadać kilka własnych wielkich parowców, urządzonych specyalnie do przewozu mięsa do Anglii. Z projektem owym już się zwrócili do hodowców kijowskich, którzy w tym przedmiocie odbyli narady. Projektodawcy zagraniczni w tym razie kładą nacisk wyłącznie na mięso wieprzowe. Kapitał na ten cel wynosi milion rubli, z których 900,000 rs. dają przemysłowcy angielscy, a 100,000 miejscowi właściciele udziałów. Na zebraniu komitetu w Kijowie podpisano już deklaracyę na 30,000 rs. Pierwsza rzeźnia powstanie w majątku p. Mazarskiego pod Winnicą na Podolu. Naturalnie z góry można wiedzieć, że przeważne zyski będą ciągnąć uczestnicy angielscy, jako posiadacze 99% całego kapitału. Dla naszych wytwórców pozostaje przynajmniej ta pociecha, że będą mogli rozwinąć hodowlę wieprzów i mieć odrazu gotowe rynki zbytu po dobrych cenach. Jeśli plan obcokrajowców w całej swej rozciągłości przyjdzie do skutku, prywatni handlarze mięsa nie będą więc mogli oprzeć się monopolowi angielskiemu. Może za lat kilka będziemy żałować, że przynajmniej 50% udziałów nie należy do nas.

Szerzenie ogrodnictwa i chmielarstwa śród ludu.

Jeszcze w roku zeszłym dyrekcya szkół ludowych w prowincyach północno-zachodnich wysłała piętnastu nauczycieli tychże zakładów do szkoły ogrodniczej w Piotrowiczach (gub. mińska), gdzie w ciągu kilku miesięcy wyuczyli się praktycznie ogrodownictwa i chmielarstwa i obeznali się z początkami nauk przyrodniczych, przyjrzeli się szkółkom z wierzby, wyrobom z nich (koszyki, meble itd.). Z rozporządzenia kuratora zakładu piotrowickiego, udzielono nauczycielom ludowym bezpłatnie po dwadzieścia drzewek owocowych i po setce dzikich, tudzież po kilka sztuk innych roślin, trochę młodych latorośli i nasion, iżby wiadomości z tego zakresu jaknajprędzej i najszersze miały zastosowanie w praktyce. W tym także celu zwrócono się do niektórych właścicieli ziemskich z prośbą o bezpłatne lub za opłatą ustąpienie po dziesięci-

---

— Akurat ma gębę taką donicę, jak i ja.

A i ona pewno mu się podobała także, bo wciąż się „przystawiał" i rozmową bawił, tańczyli także razem. Pytał przytem o adres i pozwolenie odwiedzenia.

Czy mu wolno będzie przyjść, czy mu pani pozwoli.

A Wera pozwala, dlaczegożby nie. Ona taka rozpromieniona, cała twarz śmieje się.

Krawiec o 5 w niedzielę chodzi zawsze na przechadzkę, może będzie mógł pani towarzyszyć.

O! z pewnością będzie mógł. A w głowie układa, jak swoją „starą" namówi, żeby dać wcześniej obiad, i być gotową na piątą.

Krawcowi nie przyzna się, że jest kucharką; powie, że jest młodszą.

Czeka więc niedzieli, a chodzi, jak nieprzytomna. Wrzuciła rubla pod blachę, poszła do miasta bez koszyka.

I śmieje się i zła jest na siebie.

Szczęście, że pani kazała popiół z pod blachy wybierać, byłby się rubel spalił.

Dla pani złagodniała, ale o krawcu nic powie. Bez morałów obejdzie się, o siebie spokojna, nie puści się, jak drugie.

Cóż z tego, że facetów lubi. Pośmieje się, pożartuje i dosyć. Śmiałości do niej żaden nie ma.

— Niechby tylko który spróbował ze mną, mówi, jak z Teklą, zarazbym trzasnęła, ażeby gęba spuchła.

Nadeszła wreszcie niedziela.

Wera sama nie wie, jak doczeka piątej. Nie myśli o niczem, sprząta, aby zbyć, obiad soli dwa razy, a oczy ciągle zwraca na okno. Boi się, że krawiec wcześniej nie przyjdzie, cóżby ona zrobiła?

O! dotrzymał słowa! Akurat o piątej widzi Wera na podwórzu „celender." To on, Franek z pewnością.

Wyleciała, boi się sprowadzić go do kuchenki, może kiedy, później, ale teraz jeszcze nie wypada.

Prosi go, żeby zaczekał w bramie, ona zaraz będzie gotowa.

Wystroiła się pięknie i chusteczkę jedwabną zawiązała na szyję i kapelusz nałożyła.

Opowiada potem pannie Mani.

— Ach! moja pani, gdzieśmy chodzili! Po różnych ulicach, pod rękę, takiem się ubawiła. Potem zaprosił mię do cukierni, fundował kawę, ciastka, alem się tak jeść wstydziła; ledwie, żem tę kawę wmęczyła.

Panna Mania bez ogródek twierdzi, że panna Weronika jest głupia.

Wera sama to wie, że głupstwo zrobiła; ciastka musiały być doskonałe. Franek ze siedem „zdudnił."

Szkoda, byłaby dopiero smaku użyła!

Odprowadził ją do samej kuchni, ścisnął za rękę, obiecał przyjść w niedzielę rano; pójdą razem do kościoła i na wystawę obrazów.

Kościoła Wera nigdy nie pominie, pobożna jest. Lubi nawet prowadzić rozmowy religijne z Rozalią, naprzykład o sądzie ostatecznym.

Kiedyś nawet i z panną Manią, kiedy już obgadały narzeczonych i panie, poświęciły parę słów temu przedmiotowi. Byłoby coprawda do tego nie przyszło, bo panna Mania nabożeństwem nie lubiła się popisywać, ale zobaczyła u Wery książkę i zdziwiła się ogromnie, że Wera wieczorem modlitwy odczytuje, skoro już rano była w kościele. Ona się przyznaje, że właśnie katechizm zapomniała. Okazuje się przy wspólnych próbach, że tak jest rzeczywiście. Nie umie objaśnić, ani co jest amen, ani co znaczy znak krzyża świętego, nic mówiąc już o wierze i tajemnicach. Wera za boki się bierze. Ona to wszystko umie, jak pacierz. O! bo też proboszcz Zaleski nie żartował na nauce! Już onby panny Manię przytrzymał i na zapowiedzi nie przyjął, gdyby na każde zapytanie nie odpowiedziała.

Prawda, panna Mania wcale nie zastanowiła się, że to może być przeszkodą do zamążpójścia.

O! już ona musi sobie wszystko przypomnieć, choćby o stanie małżeńskim.

A Wera mówi, że ona tam wcale o tem nie myśli, daleko częściej o sądzie ostatecznym.

Boi się końca świata. Żeby to przyszedł zwyczajnie, to niechby tam; każdy przecież umierać musi, ale najgorszy ten ancychryst.

— Będzie on ci obiecował dostatki, pieniądze, różności, żebyś do niego przystała,

nie ziemi. Podobno wszyscy ci, co otrzymali takie odezwy, ustąpili grunt bezpłatnie, szkółki zaś urządzone na nim, rozwijają się pomyślnie. Szkoda, iż dotychczas tak pożyteczną metodę zastosowano tylko do kilku gubernij litewskich. Prawda, że za mało jest dotąd szkół ogrodniczych w państwie, ale tymczasem mogłyby je w wielu miejscach zastąpić w części inne instytucye, jak np. w Królestwie Polskiem Towarzystwo ogrodnicze lub przeradzające się niefortunnie Muzeum pszczelnicze.

Drogomir.

TEORYA PRZESILEŃ HANDLOWYCH

WELLSA.

Lata 1869—1872 były świadkami gorączkowego ruchu handlowego i przemysłowego. Kredyt doszedł do granic nieprawdopodobnych; płaca robocza wzrosła niepomiernie; łatwość zarobku była niesłychaną; ceny surowców wciąż podnosiły się; spekulacya wybujała ogromnie. W Stanach Zjednoczonych i Rosyi widzimy gorączkową budowę dróg żelaznych; otwarto kanał Sueski; w samych Prusach w ciągu r. 1872 i pierwszej połowie 1873 powstaje 687 nowych towarzystw akcyjnych z kapitałem przeszło 481 milionów dolarów. „Wzrost cen, znaczna pomyślność materyalna, wysoka płaca robocza, bezrobocia w celach wywalczenia jeszcze większej, dowóz towarów, istna gorączka budowania dróg żelaznych, łatwy kredyt, życie nad stan i śmiałe spekulacye w każdej gałęzi przemysłu“— taki spostrzegamy widok w r. 1873. I oto wśród takiego powodzenia wybucha nagle, niespodzianie *) przełom, jakiego dotychczas nie widziały dzieje pod względem natężenia, powszechności i długości trwania. Rozpoczyna się w Niemczech i Stanach Zjednoczonych a z tych krajów rozszerza się na inne. Dnia 17 września r. 1873 ogłasza bankructwo, zresztą nieznacznej wagi, jedno towarzystwo kolejowe w Ameryce, a już w 4 dni później rozlewa się powódź upadłości, o których rozmiarze można mieć przybliżone pojęcie, jeżeli zważymy, iż w zakresie samych domów handlowych wynosiły one przeszło 775 mil. dolarów! Przesilenie objęło zarówno narody militarne, jak i pokojowe, trzymające się polityki wolnego handlu, jak i oparte na systemie ochronnocelnym, posiadające stałą złotą walutę, jak niczem, prócz obietnic, niegwarantowaną papierową. Co więcej, zagarnęło ono nawet dopiero zdobyte przez cywilizacyę obszary: Australii, Afryki południowej i in. Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Niemcy, Francya, Belgia — tak przedstawia się następstwo najbardziej dotkniętych krajów. Przesilenie sroży się najsilniej w państwach, gdzie użycie maszyn, wytwórczość pracy, stopa życiowa i oświata ludowa stoją na najwyższym stopniu. Wprawdzie w latach 1878—1879 nastaje chwilowo polepszenie w Stanach Zjednoczonych, przeminęło ono jednak już w r. 1883 — wskutek ożywienia, wywołanego na rynku międzynarodowym przez zboże amerykańskie. Tymczasem na lądzie europejskim lata 1879, 1885 i 1886 należą do najgorszych *). Jeżeli wywóz z Anglii w r. 1883 oznaczymy przez 100, w 1885 spada on już do 92·2, w 1885 — do 88·5; w Niemczech odpowiednie cyfry przedstawiają się jak 100, 89 i 87·5. Według szacowań „United States Bureau of Labour,“ w r. 1885 znajdowało się blizko milion osób pozbawionych pracy, że już nie mówimy o innych, których utrzymanie zależy od zarobku tamtych.

Co gorsza, kiedy przesileniom poprzednim można było przepowiedzieć jakiś koniec, w obecnem nadzieja tego rodzaju nie ma a przynajmniej nie znajduje żadnego punktu oparcia. Rządy Anglii, Kanady, Stanów Zjednoczonych, Francyi i Włoch wyznaczyły osobne komisye dla wykrycia przyczyn i wyszukania środków. Sprawozdanie „Royal British Commission“ objęło aż 5 potężnych tomów *in folio*; włoskiej komisyi — nie mniej nad 15 prócz licznych dodatków. Do tego dodać wypada niezmierzoną ilość rozpraw, wypracowań i artykułów. Niepodobna jednak powiedzieć, aby dotarto do jądra rzeczy. Często widziano tylko przyczyny drugorzędne, miejscowe a raczej zjawiska współrzędne.

Zdania zwołanego w tym celu kongresu w Stanach Zjednoczonych tak podzieliły się w określeniu powodów, iż przedstawiają pokaźną ilość — aż 188! Rzadkość i podrożenie złota, stanienie srebra, ograniczenia wolnego handlu i inne przeszkody tej wolności, wojny i budżety militarne, nieurodzaje, spekulacye, nierówniejszy podział bogactw, bezrobocia i organizacye klasy robotniczej i wiele innych przyczyn. Z pośród bardziej ogólnego charakteru przedewszystkiem uwzględniono nadprodukcyę, t. j. wytwarzanie większej ilości przedmiotów, aniżeli zdoła pochłonąć rynek. Bezwarunkowo, jest to jedna z najistotniejszych cech wszelkiego przesilenia, jakkolwiek dziwnie wygląda, iżby nadmiar środków zaspakajania potrzeb mógł być przyczyną tego zjawiska, odznaczającego się między innemi wywoływaniem masowej nędzy, t. j. niezaspakajania potrzeb. Wszakże, naszem zdaniem, i w tym objawie nie należy jeszcze szukać źródła głównego. Zgadzamy się pod tym względem z badaczem amerykańskim, Dawidem Wellsem, który w jednem z czasopism New-Yorkskich *) już od lat dwu drukuje szereg artykułów o obecnym stanie ekonomicznym, iż ponieważ najwybitniejszem piętnem teraźniejszego przesilenia jest powszechność, przeto i przyczyny muszą mieć jakiś charakter ogólny. Prace tego amerykanina odznaczają się mnóstwem ciekawych szczegółów i oryginalnością w rozpatrywaniu przedmiotu.

Jakież więc zjawisko góruje nad innemi w sferze tegoczesnego życia ekonomicznego? Oto przyśpieszony i szalony niemal wzrost wytwórczości — wszędzie można otrzymać dawną sumę przedmiotów z mniejszym wydatkiem pracy. Ów postęp między innemi znajduje dla siebie wymowną skalę—w liczbie robotników, zbytecznych obecnie w porównaniu z dawnymi czasami dla wytworzenia pewnej ilości produktów. Sprawozdanie „U. S. Bureau of Labour“ z r. 1886 powiada, iż w przeciągu ostatnich 15—20 lat wytwórczość w fabrykacyi maszyn rolnych wzrosła o 50—70%, butów (zastosowa-

*) Zresztą można wskazać ludzi, którzy wskutek dokładniejszej analizy praw ekonomicznych przepowiedzieli przesilenie i nawet jego charakterystyczniejszą cechę: ciągłość.

*) Poczęści dzięki przesileniu europejskiemu u nas poczyna się gorączkowy rozwój przemysłu sosnowickiego itd. Wątpliwem jest, czy mimo wszystkich korzyści z systemu celnego itd. kapitaliści niemieccy chcieliby się awanturować i zakładać filie w krajach obcych, gdyby przesilenie nie uniemożliwiło ich kapitałom zajęcia w ojczyźnie.

*) *Popular Science*, lata 1887 i 1888. Dawid A. Wells: *the Economic Disturbances since* 1873.

---

a jak przystaniesz, to już po twojej duszy! Zgubiłaś ją. Już on ciebie naznaczy, nieprzyjaciel Jezusa Chrystusa, już ty będziesz w mocy złego.

Coby Wera dała za to, żeby ten ancychryst przepadł i nie jeździł, ale będzie — gdzie go tam kto zmoże, będzie jeździł; przecież proboszcz Zaleski wie więcej, niż wszystkie książki, a całe kazanie mówił o tem i trząsł się cały, pewno też ze strachu.

— Wie panna Mania, że ja nieraz w nocy nie śpię, jak mi to wszystko do myśli przyjdzie!

— Nieraz sobie tłomaczę, żeć ja taka najgorsza nie jestem, możeć mnie męki piekielne miną. Nie jezdem żaden oszukaniec, złodziej, latawiec, tyle tylko, że mięso w post żrę.

Ale na post to ona zawsze nie dbała. Inni jedzą z solą, ona jajecznicy nasmaży i mleka ugotuje. I sobie z panią doradzają, że mięso tyle warte, co i ryba.

— Tu, w Warszawie i księża o post bardzo się nie gniewają, ale nasz! Rozgrzeszenia-by nie dał, jeszcze za uszy wytargał.

— Wie pani, widziałam go kiedyś w drożce: żeby tak szedł, byłabym go zaraz przywitała.

Ona i warszawskich wita, tego od Wszystkich Świętych, co takie prześliczne kazanie mówi, zawsze w rękę pocałuje.

— Już ja — mówi— księży bardzo lubię.

Panna Mania kiedyś też lubiła i witała także, ale to już dawno...

Zamyśliły się obie.

— Ale wie panna Weronika, że my tak rozmawiamy, jakby tu między nami była osoba duchowna. E! lepiej ja pani przeczytam list od mego Romka. I przeszły do weselszej rozmowy...

Ma więc teraz i Wera swego narzeczonego. Ach jak jej teraz wesoło! Co niedziela chodzi z Frankiem po mieście, była już i na wieczorku u jego znajomych. Chciał ją przedstawić jako narzeczonę, ale ona nie pozwoliła, i na „przyjaciółkę“ nie zgodziła się.

— Już wolę być „znajomą.“

Przedstawił ją więc jako znajomą.

— Panna Mania nawet wyobrażenia nie ma, jaki on jest wychowany, jakie ma uważanie dla mnie. Zawsze wita i żegna mię: moje uszanowanie pani!

Wera naśladuje przytem ukłon Franka.

Ach! jak ona go lubi!

Obiecuje dać na zapowiedzi zaraz po losach. Jak tylko do domu wróci, zaraz się pożenią.

Wera taka będzie dobra, nigdy się z nim nie pokłóci, wszystko w domu zrobi i do prania będzie brała, aby tylko mieli dostatek. Snuje projekty, nawet jej na myśl nie przyjdzie, żeby się spełnić nie miały.

Tymczasem los zawiódł oboje.

Franek poszedł do wojska.

Przy pożegnaniu przysięgli sobie czekać; trzy lata — to nie całe życie. I pisywać będą, choć raz na miesiąc.

Biedna Wera, co ona się wypłakała z początku!

— Chyba oczy stracę — mówi.

Ale tak jej się tylko zdawało; nie straciła ani oczów, ani nawet dawnego humoru.

Po kilku tygodniach wyperswadowała sobie Franka.

— Będę czekała, wróci to dobrze, a nie— to nie pójdę wcale za mąż. Czy to tylko za chłopem szczęście.

Już ona za byle kogo nie chce, a nikt się jej tak jak Franek nie podoba.

Wróciła teraz do dawniejszych projektów; uczyła się w pralni przez miesiąc i szuka sobie nowego miejsca. Zapisała się aż w dwóch kantorach.

Z dawną „starą“ żegnały się wzruszone.

Wera, przy dobrych świadectwach nie ma kłopotu o służbę. Dostaje się nareszcie do owych „bogaczów,“ zobaczy przecież ten szyk!

Godzi się za młodszą do państwa Y. za pięć rubli miesięcznie.

W pierwszych dniach chodzi oczarowana: dywany, lustra, kwiaty i portyery, ani słychać kroków, ani drzwiami nie potrzeba skrzypieć. Jedzenia po uszy.

Wszystko stoi niezamknięte, nawet wino w karafkach.

Pani dobra, nic a nic niedumna: jak i tamta wypytuje, słucha opowiadań Wery. Wysuwa nogi z pod kołdry, a Wera ją obuwa. Z początku wstręt ją brał.

no maszyny)—80%, powozów— 65%, w przemyśle jedwabniczym— 50% itd. Atkinson—jedna z powag w tej mierze według Wellsa—ocenia, iż w ostatnich 15—50 latach oszczędzono w transporcie i produkcyi 33% pracy; jeden zaś z profesorów londyńskiego „University College“ stawia jeszcze wyższą normę, bo 40%, dla okresu od r. 1850. Wells drobiazgowo rozpatruje skutki i objawy tego postępu technicznego. Zaczyna od środków przewozowych. Przekopanie kanału Suezkiego stanowi zapowiedź potężnych w tym względzie przewrotów. Zamiast 6—8 miesięcy podróży wystarcza obecnie dni 13 dla odbycia drogi z Londynu do Kalkutty. Jednocześnie odbywało się gorączkowe doskonalenie budowy statków. Olbrzymie parowce, zbudowane w latach 1873—1875 już w 1875—1876 stanęły niżej technicznych wymagań i zostały sprzedane za pół ceny; z r. 1875 zaś już w następnem dziesięcioleciu okazały się przestarzałymi, gdyż technika nauczyła budowania innych, oszczędzających 25% materyału opałowego. Nadto koszta budowy tak się zmniejszyły, iż przy 2,000-tonnowym parowcu wynosiły w r. 1887 tylko 14 tysięcy f. sterl., zamiast 24 tys. z r. 1883. Udoskonalenia objęły i inne czynności przewozowe, np. jakkolwiek w Anglii w r. 1880 przewieziono o 22 mil. tonn więcej w porównaniu z r. 1870, jednakże zatrudniono przytem blizko o 3,000 mniej osób. Podobne zjawisko widzimy i na lądzie— obok rozrostu środków komunikacyjnych, spadek kosztów przewozu. W Stanach Zjednoczonych koszta te w r. 1869 przeciętnie wynosiły 2·5 cent. z tonny na jedną milę kolejową; tymczasem w r. 1885 spadły już do 1·5 cent. Dla uprzytomnienia taniości powolamy się na następujące porównanie. Za przewiezienie 2,200 funtów jakiegoś przedmiotu na jedną milę za pomocą kolei żelaznych płaci się tak bajecznie nizką cenę, iż za nią żaden malec, z wyjątkiem chińczyka, nie zechciałby przenieść lekkiego pakunku na sąsiednią ulicę. Ogół zaś kolei w r. 1885 na globie ziemskim spełniał taką pracę, dla której potrzebaby było, aby każdy mieszkaniec ziemi posiadał konia, pracującego przez dni 12 w roku.

Taki sam postęp spostrzegamy i śród produkcyi. W r. 1868 dla wyrobienia tonny stali należałoby wyłożyć 10 t. funtów węgla, obecnie zaś tylko 5; ludzi zaś po temu potrzeba mniej już w stosunku 10 do 4, niż w r. 1875. Cena też tonny stali bessemerowskiej w Anglii spadła z 80 do 20 dolar. za okres lat 1873—1886. Produkcya wyrobów bawełnianych w ostatniem dwudziestoleciu podwoiła się, tymczasem liczba zatrudnionych robotników za okres lat 1874—1884 wzrosła zaledwie o 2·8%! W przemyśle rolniczym 600 ludzi wykonywa tę samą pracę, dla której przed 15—20 potrzeba byłoby aż 1,545. W Stanach Zjednoczonych wydobyto w r. 1880 o 82·7% antracytu i 70·8% miedzi więcej, niż w r. 1870, wówczas gdy liczba rąk roboczych powiększyła się jedynie o 33·2% i 15·8%. Dzięki wprowadzeniu maszyn, dla wyrobienia pewnej ilości butów zamiast 500 potrzeba jedynie 100 robotników — tj. jeśli rozmiary produkcyi pozostały dawnymi, 80% ludzi pozostało bez zarobku. Nie będziemy przytaczali liczniejszych przykładów i powyższą wiązankę zamkniemy jednym z najwymowniejszych: roczna praca 10 ludzi wystarcza do sprzętu zboża, zmielenia go, przewiezienia z Ameryki do Europy, wypieczenia i sprzedania chleba aż dla 1,000 osób!

Słowem, mamy przed sobą bezustanne potęgowanie panowania człowieka nad przyrodą. Rozmiary stosunków handlowych i przemysłowych wzrastają. W Niemczech ruch kolejowy za okres lat 1872—1885 podniósł się o 90%, ogólno-handlowy—o 68%, przesyłki pocztowe—108%, depesze telegraficzne— 61%, interesy bankowe—24%. Tymczasem ludność wzrosła jedynie o 11½%; jeżeli więc w r. 1872 jednostka obrotu handlowego przypadała na osobę, w 13 lat później liczba jednostek na osobę wynosiła 10. Otóż w tym nierównomiernym wzroście wytwórczości i techniki a ludności kryje się zdaniem Wellsa źródło obecnego przesilenia. Kiedy w przeciągu ostatniego dwudziestolecia rozmiary produkcyi bawełnianej podwoiły się, żelaza zaś za okres lat 1870—1883 wzrosły o 182·2%, wówczas ludność w Stanach Zjednoczonych powiększa się w dwojnasób zaledwie przez 33, w Europie — przez 75 lat. Nie dość tego; zwiększenie wytwórczości i rozmiarów produkcyi często odbywa się za pomocą zmniejszenia ilości pracujących rąk, jak np. widzieliśmy w transporcie okrętowym. Przedstawmy sobie tylko ten fakt, iż wskutek jednego otwarcia kanału Suezkiego okazała się zbyteczną liczba okrętów o ładunku 2 mil. tonn! Dodajmy do tego, iż nowe wynalazki znoszą potrzebę całych zawodów, zwłaszcza rzemieślniczych (np. szewctwa), a będziemy mieli wszystkie fakty, na których opiera się ekonomista amerykański w swych wywodach. Na ich to podstawie twierdzi, iż ogromny wzrost panowania człowieka nad przyrodą w ostatnich 15—20 latach i spotęgowanie umiejętności wyzyskiwania potęg naturalnych w celach produkcyi i przewozu stanowią zasadnicze źródła i zarazem zupełnie wystarczające dla wytłomaczenia przesilenia, srożącego się od r. 1873; inne przyczyny w jego rozumieniu są jedynie wtórnego i miejscowego znaczenia. Dla odparcia możliwego zarzutu, że i poprzednio występował, przynajmniej w obrębie wieku XIX, nieustający wzrost wytwórczości, zauważa, że nigdy sprawa doskonalenia techniki nie szła z taką gorączkową prędkością.

Oto całokształt i główne założenie teoryi Wellsowskiej przesileń ekonomicznych. W krytykę nie będziemy się zapuszczali, jakkolwiek dałoby się powiedzieć bardzo dużo. Wspomnimy jedynie, iż mamy przed sobą dwa szeregi faktów, zaiste dziwnie sprzecznych. Z jednej strony widzimy bezustanny wzrost władzy człowieka nad przyrodą — moglibyśmy więc sądzić, iż wskutek tego dobrobyt ogólny powinien zwiększyć się, nędza zaś zmniejszyć; tymczasem oglądamy coś odmiennego — spotęgowanie niepewności jutra, odebranie kawałka chleba aż milionowi z górą ludzi w r. 1885. W Chinach ludność umiera z głodu wskutek nieurodzajów i dla braku środków komunikacyjnych, które umożliwiłyby dowóz szybki zboża z sąsiedniej prowincyi; u nas, dzięki zdobyczom technicznym, śmierć głodowa grozi z innych przyczyn — ponieważ za wiele spoczywa wytworów w magazynach... Wells zauważył współczesność obu tych szeregów faktów, lecz zamiast wyszukania głębszych powodów, dlaczego one stoją wobec siebie w związku współrzędności, i nawet przyczynowości, poprzestał na stwierdzeniu zjawiska, nie szukając źródła zasadniczego. Jakeśmy powiedzieli, i my staniemy przed tem zagadnieniem, nie usilując je rozwikłać. Natomiast korzystając z faktów, nagromadzonych przez amerykanina, zwrócimy uwagę na jedną cechę doby tegoczesnej: nieustającą rewolucyę ekonomiczną, wobec której wielkie przewroty polityczne XIX stulecia wyglądają tak samo, jak fajerwerki w porównaniu z wybuchami wulkanu. Zatrzymajmy się chociażby nad następstwami przekopania kanału

---

— Nie zwyciężę — mówi — żebym ja taką starą obuwała.

Ale później sobie tłomaczy, że jej przecież wszystko jedno: robi to, nie robi czego innego.

O! i pan wesoły—nieraz kropi obie zimną wodą, albo goni koło stołu; strzela także, niby z dubeltówki.

Taki jest miły i wesoły, choć paskudny. Nic go się Wera nie boi.

Jedna rzecz tylko nie podobała się dziewczynie.

Nazywają ją Amelką.

Pani powiada, że tak ładniej.

I Werze z początku zdawało się, że to dlatego, przekonała się jednak, że był jeszcze inny powód.

Żadna z koleżanek nie odwiedziła jej; dopiero panna Mania kiedyś ją na ulicy spotkała i wytłomaczyła, że były już z Teklą z dziesięć razy, ale szwajcar zawsze je odprawił z niczem. Powiedział, że tam panny Weroniki nie ma; jest tylko młodsza, ale nazywa się Amelia.

— Pani mądra, ale i Wera nie głupia; pytajtaż teraz szwajcara o Amelkę.

Ze służby jest zadowolona, dobrze jej. Od kwartału podwyższą jej pensyę na 7 rs. miesięcznie. A przytem coraz coś starego od pani dostanie, albo i kupi za półdarmo.

Na stroje sobie nie żałuje.

Do Franka pisuje regularnie. I od niego listy przychodzą, nawet serdeczne; w każdym całuje paluszki panny Weroni, zapewnia o swojem przywiązaniu. Wera odczytuje codzień i płacze.

Swoje listy zawsze zaczyna dwuwierszem:

Śliczne goździki, piękne tulipany,
Gdzieżeś, ach! gdzieżeś Franiu mój kochany!

Jest pewna, że to na Franku robi ogromne wrażenie.

Koleżanki zobojętniały. Robią jej wyrzuty, że teraz skąpsza, że na wieczorki z niemi nie chodzi; ona znów tłomaczy się brakiem czasu. Toż ona mało co sypia, o szóstej rano jest już na nogach, a czuwać musi do pierwszej w nocy.

A co ona miała roboty przez ten karnawał: i suknie odświeżać, i stroić panią, i czesać.

Przecież ona na wszystkich maskaradach musiała być, pani bez niej nie ruszy się, ciągle jej potrzebuje.

To się też Werze zaczyna przykrzyć.

Od czasu do czasu nawiedzają ją rozmyślania tego rodzaju:

Mój Boże! jak to oto na tym świecie: jednemu Bóg da tyle, że tylko rozkazuje, a drugiemu ciężka bieda. Dlatego, żem się urodziła w Zalesiu, to oto służyć muszę i pracować ciężko do śmierci, a żebym się tak urodziła u państwa, tobym była sobie panią.

Potem przychodzi jej na myśl, że są jednak jeszcze cięższe prace; na wsi naprzykład żniwo, kopanie.

Już do takiej ciężkiej onaby nigdy zdrowia nie miała.

Porównanie to godzi ją choć na krótko z położeniem i czyni je znośniejszem. Byłoby ono wcale znośnem, gdyby widziała kres.

Służ i służ do śmierci, aż nogi i zdrowie stracisz.

Gdyby tak była pewna, że Franek wróci, wszystkoby zniosła łatwiej, ale czy to chłopu można wierzyć? Obiecuje, obiecuje, a ty pisz jego słowa na wodzie!

Koleżanki między sobą mówią, że Wera jednak głupia jest. Innaby już sobie kawalera upatrzyła i pieniędzy zebrała, a ona żadnego „przebiegu“ nie ma.

Domyślają się także, że musi Frankowi posyłać pieniądze, bo choć taką pensyę bierze, nigdy gotowego grosza nie ma!

Może! Wera jednak o tem nic nie mówi nigdy. I na żarty nie odpowiada gniewnie.

Romek naprzykład zaręcza, że Frankowi wiedzie się dobrze, że na drugą służbę pozostanie.

Może, odpowiada, może i pozostanie. Niech mu Pan Bóg poszczęści.

A w domu spłacze się, przeczyta ostatni list, w którym Franek podpisał się: „Twój zawsze wierny“ i zupełnie uspokojona czeka i wierzy.

Czy się też doczeka?...

X. X.

Suezkiego. Wobec skrócenia czasu podróży z 6—8 miesięcy do 13 dni, zbytecznymi okazały się stałe i wielkie składy towarów chińskich, japońskich i induskich, które stanowiły jeden z czynników wielkości handlowej Anglii. Tryest, Wenecya, Genua, Marsylia przywłaszczyły sobie po cząstce z wielkości wielkobrytańskiej. Zresztą, same towary, zamiast wyczekiwania na kundmanów w Europie, leżą na miejscu pochodzenia, gdyż to znacznie zmniejsza koszta. Powołane zostają do życia nowe ogniska handlowe w krajach mało tkniętych cywilizacyą europejską. Nie koniec na tem. Wełna australska, zamiast przybywać do Europy w postaci surowej, przychodzi już w formie tkanin; to samo dzieje się z bawełną induską. W Melbourne powstają magazyny towarowe, największe w świecie — zajmujące pięć akrów przestrzeni. Chiny, Japonia, Australia, Indye wyzwalają się z pod wpływu ekonomicznego naszej części świata i, co więcej, zaczynają z nią współzawodniczyć. 25,000 mil (ang.) kolei żelaznej przerzyna już różne okolice Afryki, Azyi i Australii. Zbyteczna dowodzić, jakie otrzymujemy przewroty w życiu ekonomicznem i umysłowem ludów wschodnich — w Japonii z katedr uniwersyteckich wykłada się Comtea i Spencera, profesorzy zaś jako podręczniki szkolne polecają dzieła Bucklea i Darwina. Europa, a raczej część jej zachodnia, wiąże cały glob ziemski w jeden system dróg żelaznych, sieci telegraficznych i ukształca go według swych wzorów umysłowych i społecznych. W łonie społeczeństw europejskich, z tychże powodów, podąża inna sprawa: wyludnienie wsi i wzrost miast, spotęgowanie wymiany myśli oraz nawyknień — widzenia w zjawiskach przyrody jedynie prostego mechaniczno-przyczynowego związku, zatarcie różnic miejscowych i narodowościowych, rozprzężenie rodziny, zamiana gospodarstw indywidualnych i odpowiednich czynności na proste cząstki ogólnie społecznego podziału pracy. Nie widzimy ani jednego pola, gdzieby przewrotowe dążenia rozwoju ekonomicznego nie wnosiły rozkładu. Człowiek usiłuje z wszystkiego uczynić jedynie zastosowanie wiedzy i w tym biegu prawdopodobnie nie zatrzyma się, póki filozofia mas nie pojmie i jednostki i społeczeństwa jako również cząstek wszechświata, podległych mechaniczno - przyczynowemu prawu, i do sił przyrody, ukrytych w tych cząstkach, nie zastosuje ogólnej dążności — tj. póki nie zamieni życia indywidualnego i społecznego na stosowanie hygieny, antropologii i socyologii. Tymczasem obecnie nieświadomie poddaje się wynikom żywiołowo postępującego rozwoju — wzrostu wydajności i stosowania maszyn. Następstwami tego stanu są i przesilenia. Jak dla górskiego potoku potrzeba innych tam, powstrzymujących wylew, aniżeli dla spokojnego strumienia równiny, podobnież być może stosunki prawno-społeczne nie odpowiadają już siłom wytwórczym tegoczesnej cywilizacyjnej ludzkości. Nie wątpimy, iż rozwój stosunków ekonomicznych w swym postępie sam wskaże konieczne zmiany, które jednakże przed czasem swej dojrzałości mogą zostać sformułowane przez wrażliwsze umysłowo i syntetyczniejsze jednostki już w formie maligny utopijnej, już w mniej lub więcej zręcznego określenia procesów przyszłości.

K. R. Żywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Floryan Łagowski: *Collegium nobilium Stanisława Konarskiego*. Warszawa, 1888.

Stanisław Konarski jest, jak wiadomo, jednostką epokową, występującą z hasłami reformy na trzech różnych polach działalności społecznej. Praca *De emendandis eloquentiae vitiis* należy do rozpraw, które w historyi stylu i kunsztu pisarskiego nowy zwrot u nas wywołały; „collegium nobilium" (1740—1832) — to pierwsza szkoła nowożytna w Polsce, a książka *O skutecznym rad sposobie* — to taran dyalektyczny ku skruszeniu murów świątyni, jaką sobie, pod godłem fałszywego dogmatu, wystawiła utuczona pomyślnością pycha i prywata ojców narodu. Z którejkolwiek strony spojrzymy na Konarskiego, widzimy w nim publicystę w najszerszem tego słowa znaczeniu. Geniuszem nazwać go niepodobna; nie był też ani głębokim myślicielem, ani apostołem radykalnych idej XVIII-go wieku; ale odczuwał wiernie tętna społeczne, badał wady organizmu Rzeczypospolitej i nabytymi zagranicą, środkami umysłowymi starał się go od niechybnej uratować zguby. Działalność Konarskiego wiąże się licznemi włóknami z historyą narodową; ktoby więc zapragnął napisać studyum — czy to o polityku, czy o pedagogu, tenby musiał daną postać odtworzyć na szerokiem tle zjawisk.

Znany kierownik młodzieży i redaktor pisma, poświęconego sprawom wychowania już od lat kilku usiłuje odmalować oblicze Konarskiego, jako pedagoga. Broszurka p. n. *Wychowanie moralne w szkole* zwracała uwagę na etyczną podwalinę obowiązującej w „collegium" ustawy; inna praca — *Konarski, jako reformator szkół* — traktowała o planie wykładów i metodach dydaktycznych, wprowadzonych przez uczonego pijara. Obecna rozprawa jest w części uzupełnieniem w części streszczeniem dwu poprzedzających. Syntozą wszakże nazwać jej nie można. Większą połowę książeczki (63 stronic na 114) zajmują programy i przepisy szkolne; znaczną stosunkowo część — ustępy, oznaczone cudzysłowami, a to, co stanowi rdzeń duchowy całego utworu (własne uwagi nad zebranym materyałem) w miniaturowych zamyka się ramach. Przy bardziej symetrycznym układzie pracy uwydatniłyby się może odpowiednie rysy znakomitego twórcy kolegium; ale potrzebaby je oprzeć na podkładzie historycznym, czego pisarz z godną lepszej sprawy konsekwencyą unika. Nie chcąc rozwodzić się nad tem (pisze na str. 2), co *w każdej historyi* (!) naszego narodu się znajduje, nie będę się ubiegał o skreślenie szczegółowe obrazu smutnego stanu, w jakim się społeczeństwo nasze znalazło na początku XVIII wieku." „Nie będę powtarzał (mówi dalej na str. 9) opowiadań o trudnościach, jakie nasz założyciel musiał pokonać... Nie będę też powtarzał opowiadań o tysiącznych przykrościach, jakie nasz założyciel wycierpiał od zazdrosnych przeciwników i ciemnych opozycyonistów..." Szkoda, wielka szkoda, że autor tak lekceważy ogniwa dziejowe. Nikt nie żąda mechanicznego powtarzania szczegółów, powszechnie znanych; ale każdy ma prawo domagać się od monografii, by nie odrywała swego przedmiotu od związku z innymi i była jasnym w konstelacyi świecznikiem. W rozdziale czwartym przypomniał sobie o tym obowiązku, i skreślił coś w rodzaju porównawczego zarysu wewnętrznej historyi szkół naszych i zachodnio-europejskich; ale ta wiązanka ciemnych obrazów nikomu żadnej nie przyniesie korzyści. Główne momenty i zwroty dziejowe — stulecia, jedno za drugiem, przesuwają się niby mary blade, bez barwy i tonu, a styl tak jest miejscami niepoprawny, że mimowoli pytamy: kto to pisał? „Szkoły też średnie (str. 72) nie mają innego celu *jak tylko nauczenie nietylko* rozumieć autorów klasycznych, ale mówić, pisać po cycerońsku; nie zwracano jednak uwagi, że *tylko* wyjątkowe uzdolnienia mogą tu wykazać rezultaty zadowalające." Na str. 77 znajdujemy przykład wadliwej węzłowatości stylu: „Nad teoryą języka od XVI wieku *pracuje się*, w XVII— *mniej tego*" — „Są one (mowa tu o podręcznikach) najczęściej słabe, *ale nic odrazu* (*prócz historyi Pastoryusza*) *doskonałe być nie może.*" Usterki, jakie na str. 72, 73 i 77 spotykam, są tem dziwniejszem zjawiskiem, że p. Ł. należy do pisarzów, dbających wogóle o potoczystą formę.

„Collegium nobilium," jak widać z rozprawy, było szkołą szlachecką, stojącą na poziomie wieku. Obok języka łacińskiego szczególną pieczą cieszył się francuski, podczas gdy nauki przyrodzone i matematyka na ostatnim leżały planie. Historya i geografia zyskały w tym przybytku drugorzędne prawo obywatelstwa. Mowa ojczysta nie doznawała należytego uwzględnienia: autor, na podstawie zebranych dowodów, utrzymuje, że w języku polskim, który był traktowany w ścisłej z łaciną łączności, katechizm tylko i historyę świętą wykładano. W gruncie przepisów moralnych tkwiła zacna dążność do uszlachetnienia herbowej drużyny, a pośrednio — całego narodu.

A. G. B.

WYSTAWA SZTUKI.

II.

Monachium, listopad.

Już nam brak czasu na obejrzenie, a miejsca na wyróżnienie wielu płócien, pod którymi figurują nazwiska Lenbacha, zajmującego osobny salon, Lindenschmidta, Meissoniera, Bastian Lepage'a i mistrzowskich jego portretów, przed którymi widza męczy po prostu i niepokoi potężne złudzenie prawdy, Alma Tademy, Carolusa Durana, Benjamina Constanta, Hermana Kaulbacha, z jego harmonijnym, pełnym subtelnych odcieni klasycyzmem, Defreggera i kilkudziesięciu innych znakomitości, którymi się chlubi dzisiejsza muza.

Stać mię więc zaledwie na parę uwag ogólnych. Na jedno zgadzają się tutaj wszyscy: że w tym olbrzymim wieńcu najbujniejsze i najtrwalsze kwiaty wplecione zostały nie przez tak zwane firmy głośne i renomowane, lecz przez siły młode, które przedtem nie były się jeszcze wydostały po nad szarą masę niezliczonej armii malarzów. Taki Benlliure słynął jedynie ze szkiców małego kalibru. Wenecyanin Tito podobno nie jest jeszcze pełnoletnim, a przecież jego „Targ rybi na Canale grande" albo „Nad jeziorem Garda," u którego błękitnawych brzegów dziewczęta włoskie z cudowną gracyą piorą bieliznę — to najpiękniejsze połączenie realizmu z barwnością poetyczną i ponętną prawdziwego syna Italii.

Hollandya i Belgia, cała Skandynawia i Ameryka, a może najświetniej Hiszpania zajaśniały utworami wielkiej siły i ekspresyi, a nadewszystko malowanymi tak, jak dziś malować trzeba. Czyż naprzykład „Nordönskield" hrabiego Rosena, szweda — to nie cały poemat wielkiego odkrycia i bohaterstwa? Odważny podróżnik, odtworzony w naturalnych rozmiarach, stoi w pośród odłamów podbiegunowego lodu i sokolem okiem patrzy w dal. Napozór nic tu szczególnego, ot sobie portret — a jednak groźna scenerya obrazu, ponure niebo i uwięziony w krze okręt, niezłomna wola i spokój na twarzy przewódcy wyprawy — przykuwają nas do tej postaci i nie dają się od niej oderwać. I oto przed wrzekomym portretem—od rana do wieczora nieprzebita ciżba artystycznych smakoszów...

Albo „Zmowa robotników" yankesa Koehlera. Rzeczpospolita z za oceanu nie mogła chyba wydać dzieła bardziej zgodnego z jej charakterem i nastrojem, jak ten widok tłumu zebranego przed pałacykiem fabrykanta.

Z pewnem rozczarowaniem ogląda się salon Francyi i jej szkoły. Podobno udział

wrogiego niemcom kraju ulegał jakiejś kwestyi, i postanowionym został dosyć późno. Z tego pewnie powodu nie widać tu nic, osobliwie porywającego ideą. Prawda, że z tamtej strony Renu ideę lekceważą, a pomysł mają w głębokiej poniewierce, jako niedorzeczność i anachronizm, a skupiają wszystek talent na kolorystycznym dowcipie lub impresyonistycznej treściwości — ale przecież inne ludy łacińskie, ogromnie wiele biorąc od francuzów, stwarzają pomimo to rzeczy wymowne, zajmujące i nie zadawalają się koncertami pędzla.

To pewna, że z jednej strony krowy na pastwisku, a z drugiej szykowne suknie na szykownych damach, w najrozmaitszych ich pozach, za dużo tu zabierają miejsca. Figielków bez liku! Tylko pamiętać musimy jedno. Duch francuski, prawdziwy ojciec chrzestny realizmu na wszystkich polach sztuki, ma prawo wyciągnąć dłonie ku połowie tych scen, tchnących nowoczesnem życiem, na ścianach kryształowego pałacu i zawołać: oto moje dzieci...

Ale *à propos* krów, a w dalszym ciągu owiec, koni, psów i wogóle inwentarza. Prowadzą one do innej znowu uwagi charakterystycznej: o nadmiarze, albo raczej przesadzie realizmu.

Pomijam nazwiska, bo je często z powodu świeżości i zapamiętać trudno i wyliczać nudno. Przytaczam tylko wiązankę znamiennych motywów.

Na jednym z obrazów historycznych, przysłanym z Malagi (przez Morena Carbonero), odgrywa się dramat przy otwartej trumnie monarchini; malowidło piękne, nawet przejmujące, ale cóż, kiedy dworzanin, trzymający wieko, chustką zatyka sobie nos. I oto uczuwasz niepowstrzymaną chętkę — wziąć drugą chustkę i zasłonić ten fragment rozgalopowanej trzeźwości, ażeby nie psuł wrażenia.

Na innem płótnie, pochodzenia, zdaje się, szwedzkiego, babka wyrywa swemu wnukowi ząb, okręciwszy go nicią. Skrzywiona z bólu twarzyczka malca oddana jest wybornie, ale trzeba być już wielkim maniakiem patologii w sztuce, ażeby doznać przed nią jakiejkolwiek przyjemności.

Almerigo z Madrytu na płótnie wielkich rozmiarów przedstawia plądrowanie Rzymu w r. 1527. Jest to ilustracya do słów dziejopisa, który opowiada, jak żołdactwo gotów wpadłszy do świątyni, przebiera się w szaty biskupów i księży, profanuje świętość i hańbi zakonnice; z wielkiej nawy robi obóz i stajnię, morduje każdego schwytanego bezlitośnie. Więc na stopniach ołtarza siwy jakiś starzec zabija sztyletem własną córkę, ażeby ją uchronić od bezcześci, u dołu barbarzyńcy błaznują w sposób tak trywialny i oblicza mają tak podobne do twarzy dzisiejszych rzezimieszków, tak karykaturalnie potworne, że odejmują całości wszelką grozę i wprost budzą niesmak.

Medycynie wyznaczono stanowisko poczesne. Na kilku obrazach widzimy krwawe operacye, dokonywane przez chirurgów, wysłuchiwanie i wypukiwanie pacyentów w gabinetach lekarskich. Okres przejściowy jest w całej pełni. Zanim przeminie i skrajność ustąpi przed estetyczną miarą w efektach bólu i brzydoty, stworzy jeszcze niejeden dziwoląg i możemy być pewni, że na przyszłych wystawach międzynarodowych nie zabraknie i sceny połogu, od której zaczyna nie pamiętam już który swój romans Zola i niejedno zajście z lupanarów.

I studya nad wspomnianym już inwentarzem domowym za dużo zabierają przestrzeni. Są, co malują byka pasącego się na górskiej łące, w naturalnej prawie wielkości i oto stoi on jak król pomiędzy drobnemi cackami, dyszącemi pięknem i werwą, pretensyonalny i pewną siebie, jak gdyby chciał je wszystkie zmiażdżyć swemi kopytami.

Do działu rzeźb nawet przechodzić nie potrzeba. Jest ich tak wiele, że je rozstawić w osobnych salonach niepodobna było. Przystrojono więc niemi galeryę obrazów, w sposób świadczący o wytwornym zawsze smaku: poustawiano śród kwiatów i wschodnich kobierców, tak iż oko z lubością spoczywa na śnieżnych biustach i grupach marmurowych, gdy się już zmęczy patrzeniem na barwy.

Prócz tego, całym szeregiem dzieł większej ceny i znaczniejszej wartości wypełniono wspaniały westibul wystawy. Otaczają one przepyszny klomb palm i roślin podzwrotnikowy, podnosząc i tak już niemały urok budynku. I tu, rzecz prosta, przeważają liczbą popiersia cesarza Wilhelma II i księcia regenta Bawaryi, ks. Bismarka niemniej. Góruje wszakże nad nimi gwiazda z tej samej plejady, ale nie największa — marszałek Moltke na koniu, którego chrapy parskają żądzą boju. Postać istotnego tryumfatora z wojny 1870 r., nawet nie wielbiciela niemieckiego miecza, zjednywa i zaciekawia wypisanym na niej geniuszem. Jest to zasługa artysty Rudolfa Siemeringa.

Ktoś inny zmodelował olbrzymią grupę, wyobrażającą poskromienie żywiołów. Człowiek o Herkulesowych muskułach ściąga rozhukanego centaura. Rzeźba robi duże wrażenie śmiałością fantazyi, ale grzeszy tem, że ma kilka jeszcze innych figur niewyraźnego przeznaczenia.

Piękny jest „Dedal“ Locka. Potężnemi ramionami podnosi ku oczom, w których maluje się boleść osieroconego ojca, wątłe ciało Ikara, już zesztywniałe i bezduszne. Piękny zarazem jako kontrast dojrzałej, męzkiej siły i usymbolizowanego w strzaskanem skrzydle polotu młodzieńca.

Ładny jest „Achilles umierający“ Hertera, dla niezrównanie harmonijnego i rozwiniętego swego torsu. Bohater wojny trojańskiej, najurodziwszy z greków, dogorywa w postawie pół-leżącej. Twarz wykrzywiona bólem, a prawa ręka usiłuje wydobyć z nogi strzałę. Ale te szczegóły już nie wabią tyle; rysy — to szablonowa dziewiczość wszystkich klasycznych efobów. Taki gołowąs, z dziewiczo delikatnym profilem, wygląda jak znany odblask przebrzmiałych dawno formułek. Zranionej pięty zwyczajny rzut oka nie wydobywa z ukrycia, ale któryś z krytyków dostrzegł, że wypadła ona u Hertera o siedem palców powyżej właściwej pięty, czyli że strzała uwięzła w kostce. Tak jest naprawdę. Jednak niesłuszną jest dowcipna uwaga tego samego autora, że pięta Achillesa jest zarazem Achillesową piętą rzeźbiarza — po prostu nie widać jej.

Jakże odmiennie drga w nas zmysł piękna, gdy stajemy przed innym motywem antycznym — „Tancerką grecką“ Eberleina z Rzymu.

Rozkosznie przechylona dziewoja zgina nad głową gałązkę róż; jest to ruch pełen nieopisanego wdzięku, a ciało we wszystkich szczegółach tak cudnie utoczone, jędrne, okrągłe i świeże, że — darujcie szczerość — pragnie się je całować. Ochotę ową dzielą zresztą prawie wszyscy przedstawiciele płci brzydkiej. Na pochwałę, lub jeśli kto woli, na naganę twórcy, dodać winienem, że „Tancerka“ nie ma nic wspólnego z lubieżną bahantką. Drobna, delikatna, jak klasyczne Wenery, ale obok tego węższa cokolwiek w pasie, niż one. W oczach Akademii jest to ciężki grzech, ale jemu też pewnie Eberlein zawdzięcza, że to pieścidełko zostało przez wszystkich zrozumiane i... pokochane.

A teraz parę dzieł dłuta realistycznego. Co myśleć o grupie Fremieta, przedstawiającej potwornego goryla, który dławi pod pachą piękną dziewczynę — nie wiem. Straszliwa małpa szydersko rozwarła swą ohydną paszczę, kosmate palce wpiła w piersi ofiary i przyciska ją tak czule do swej piersi, że pierś dziewczęcia, wzdąwszy się, dotyka prawie szyi; zaś w drugiej łapie trzyma kamień, którym pewnie gdzieś w gęstwinie zgruchocze nieszczęsnej czaszkę. Czy to razi, czy odpycha? I jedno i drugie, a w każdym razie uderza pomysłem oryginalnym i wyborną grą ciała i muskułów w przyduszonej ofierze.

Nieopodal „Mąk pańskich“ i wielu rzeźb dla kościoła i cmentarza, w pierwszej chwili wymyka się uwadze ciemna jakaś, jakby wzgardzona para. To ślepy „Belisario“ — żebrak. Siedzi na stopniach zapewne świątyni, pokryty strzępami wojskowego półpłaszcza, na którym tłucze się olowiany medal. Głowę starą, łysą, pomarszczoną oparł na dłoni, pod dłoń podstawił kij pielgrzymi i duma, z lekkim uśmiechem pobłażania łagodnej apatyi, zdający się mówić: *vanitas vanitatum!* Rzeczywiście, marny rozdzierająco jest jego wygląd, marne jego mienie, złożone obok w chustce. A prawda, posiada jeden skarb, smutny, jak sama nędza: córka siedzi obok, o stopień niżej i złożyła głowę na kolanie ojca, a w prawej ręce trzyma wytarty, zrudziały kapelusz jego, błagając o jałmużnę. I ona widać machnęła już ręką na wszystko i pożegnała wszystko, swą młodość przykutą do kaleki i swoje nadzieje, rozwiane przez głód. Ile opuszczenia i rozrzewniającej do głębi żałoby w tej szczupłej rodzinie, na której, rzekłbyś, natura i świat skupiły wszystkie swe prześladowania!

Wenecyanin Nono, który tę grupę wymodelował, nie może utyskiwać na brak uznania. Poruszył wszystkie serca i oto w kapelusz nędznego tułacza sypią się datki obfite. Nie widziałem nikogo, ktoby spojrzawszy nań, odmówił ofiary, ale za to widziałem łzy w niejednych oczach.

Ten grosz litości, to, jak łatwo zgadnąć, wsparcie dla biednych; a te łzy — to najwyższy hołd, złożony ludzkiej sztuce.

Potrzeba jednak rozstać się z twórczością zagraniczną, by módz natrącić słówkiem i o malarstwie polskiem.

Jak już wspominałem, wcielono je bądź do niemieckiego, bądź do austryackiego, bądź, jak pannę Bilińską, do francuskiego, lub wreszcie w dowód łaski, zamieszczono w „Salonie międzynarodowym“ Tu właśnie jedną ścianę zajmuje w całości „Joanna d'Arc“ Matejki. Znamy ją dobrze i nikt pewnie nowych zdań nie ciekaw. Warto tylko zaznaczyć, że mistrz krakowski zrobił wybór fatalny. Gdy naokół świetna technika i wypukłość zrobiły z malarstwa rzeźbę, twórca „Rejtana“ zrobił zeń coś wprost odwrotnego: gobelin pyszny, jaskrawy, ale wskutek organicznego braku perspektywy i mistycznych dziwactw, niepojęty dla nikogo z cudzoziemców. Los jeszcze w swej ironii sprawił, że bezpośrednie sąsiedztwo stanowią: „Widzenie w Coloseum,“ gdzie światło malowane o zmroku robi wrażenie zapalonego fosforu — i wielkie płótno hiszpana Villodas, odtwarzające z wybornem poczuciem przestrzeni szeroką widownię bitwy morskiej, stoczonej na cześć cezara Augusta.

Można patrzeć z żalem na powszechną obojętność wobec tego, co u nas wynoszono pod niebiosa, ale dziwić się trudno...

Siemiradzki przysłał „Świętojańskiego robaczka“ — jeden waryant więcej z ulubionej jego idylli rzymskiej, w której musi być para kochanków, cień rozłożystych drzew, ciemno - szafirowe niebo i trochę marmuru. Tym razem „on“ trzyma na dłoni świetny owad, co prawda za wielki, a oboje na tle nocy południowej bawią się tym rozmarzającym ognikiem. Zaletą tych wszystkich obrazków, a więc i najnowszego, jest szczera poezya, melancholia w krainie żaru i namiętności, przeniesiona żywcem z nad Wisły i niezatarta.

Inny rys plemienny, ten sam, co stworzył *Ogniem i mieczem* i *Potop*, cechuje Brandta; może też i Sienkiewicz natchnął go tą samą sceną wojennej brawury i szału, która znajduje się na wystawie. Domyślam się, bo

podpis nic nie mówi, że to napad jazdy szwedzkiej na wieś polską. Wściekły jest tu pęd rumaków w przepysznie łamiącym się szeregu rycerzów i ma się jakąś rozkosz patrzeć dłużej. Batalia będzie po wsze czasy wdzięcznym dla pędzla tematem, byleby widz prawdziwą burzę i wir zapasów miał przed sobą i czuł, że tam krew płynie i anioł śmierci przechadza się po polu. A tak właśnie, jak Brandt, oddawać ogień spienionych biegunów, potrafi niewielu.

I jeszcze ta sama dziarskość i animusz znamionują „Powrót z jarmarku“ Zygmunta Ajdukiewicza. Jakże miłym był ten widok wsi polskiej, jej białych chat i dalekich pól, malowanych starannie i przekonywająco!

Niemniej swojskie motywy opiewają dwa malowidła Kowalskiego: „Wesele krakowskie“ i „Myśliwy hucuł, jadący na polowanie.“ Dzieła bez zarzutu.

Wacław Szymanowski raz już sceną rodzajową z życia tatrzańskiego, a teraz powtórnie „Kłótnią chłopów“ dowiódł, że posiada nader delikatne poczucie charakterystyki i technikę, doprowadzoną do znacznej doskonałości. Jury wystawy poznało się na nim i uczciło medalem drugiej klasy „Kłótnię,“ która unikając grubej sensacyi dla tłumu, chwyta moment pod względem psychologicznym daleko ciekawszy i poważniejszy, gdy krew zaczyna dopiero kipieć, a świadomość doznanej krzywdy nie przeszła jeszcze w świadomość silnej pięści lub nieświadomości zwierzęcia.

Nie mogę pominąć milczeniem „Tatara w podróży“ Wywiorskiego, gdyż jego scenerya, przedwieczorny krajobraz zimy, kiedy śnieg stepu i obłoki na horyzoncie nabierają posępnej barwy fioletu — sprawia swym nastrojem istotne wrażenie.

Ten łańcuch możnaby snuć jeszcze długo, na dowód, że artyści nasi mieli się czem popisać i zasługiwali na osobną komnatę. Szkoła polskiego malarstwa jest urojeniem, ale nastrój jego i duchowa fizyognomia wypiętnowane są dosadnie. Naturalnie nie ma z niemi nic wspólnego taki np. „Uriel Acosta“ Hirszenberga; postać głęboko pomyślana, bo i rysy plemienne uwydatnił w niej artysta dosadnie i pięknie jej nadał i wyraz mędrca marzyciela, który zrozumieć mogą tylko nieszczęsni potomkowie Ahaswerowego rodu... Malarze żydzi, to także nie szkoła, ale ich łączy żadnymi wpływami nie nadwątlony węzeł rasy. Ileż pokrewieństwa między Gottliebem, Hirszenbergiem, Izraelsem?

Modą iście rodzimą skończyłem tedy na... żydach, ale oni znowu przywodzą na myśl twórcę „Trąbek“ — Gierymskiego i nastręczają pytanie, dlaczego ten *pour sang* monachijczyk trzyma się tak zdala od turnieju, skoro mógłby w nim zabłysnąć.

Dziś już uroczystość skończona. Na *milion* marek zakupiono różnych dzieł sztuki, a Bawarya zyskała nowy tytuł do sławy i dumy. Dziwne zjawisko! Naród głęboko, okropnie prozaiczny i małomieszczański, cierpiący na chroniczny wstręt do literatury, otrzymał w darze od swych królów werniks Peryklesowej epoki... Miałeś racyę Henryku Heine, biorąc się na dźwięk słów „Niemieckie Ateny“ — za boki. Mam zaszczyt chętnie ci wtórować.

Ponad wszelkiem dziełem, jakiem jest wystawa monachijska, unoszą się cienie Maksymilianów, Ludwików. To byli prawdziwi artyści panujący plemienia piwoszów z *Fliegende Blätter*. A nieszczęśliwy samobójca romantyk może jeden z całego pokolenia miałby prawo, rzucając się w fale jeziora, zawołać: *Qualis poeta pereo*!

Cezary Jellenta.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Materye wybuchowe. — Wyłączona z nich para. — Dozór nad kotłami fabrycznymi. — Wybuch w „Wulkanie.“ — Potrzeba kontroli. — Wypadek w Zwierzyńcu. — Skazanie na śmierć niedźwiedzia i okazywanie jego sadła. — Naruszona równowaga Zarządu. — Cennik obrazów. — Sztuka jako zbytek. — Jej zastosowanie do przemysłu. — Wystawa przemysłowa. — Mały Ślarz — Z wielkiej chmury.

We wszystkich państwach rozciągnięto czujny dozór nad wyrobem i używaniem materyj wybuchowych. Wolno je wytwarzać lub używać tylko za specyalnem pozwoleniem i w ściśle oznaczonej ilości, a baczna kontrola nie zdejmuje z nich ani na chwilę swej uwagi. Ale co zaliczono do tych materyj? Proch, nitroglicerynę, dynamit, melinit itd. Nie włączono do nich pary, która nietylko stanowi bardzo mocny i niebezpieczny środek wybuchowy, ale nadto ma najszersze ze wszystkich zastosowanie. Każda fabryka — to prochownia, każdy kocioł — to armata. W ostatnich czasach państwa zaczęły rozmyślać nad ustanowieniem jakiejś w tym kierunku kontroli, ale nie wypracowały jeszcze żadnego poważnego planu. Rzeczywiście stosunki obecne przedstawiają dziwny widok. Nie można w mieście postawić dowolnie domu, nie można w sklepie mieć dowolnej miary i wagi, nie można wybudować dowolnie kolei żelaznej, we wszystkich tych przedsięwzięciach trzeba zastosować się do pewnych przepisów i poddać robotę rewizyi urzędowej; ale można według upodobania przygotować sobie kocioł, napełnić go parą i poruszać nią maszyny. Niewątpliwie, sama dbałość fabryki o bezpieczeństwo i dobre imię, zarówno tej, która kotły wyrabia, jak i tej, która ich zużywa, jest niejaką rękojmią; ale czemuż taka rękojmia nie wystarcza nam w innych wypadkach? Czemuż nie wierzymy, że każdy budowniczy wzniesie kamienicę, która się nie zawali, że każdy inżenier urządzi drogę żelazną, która wykolejaniu się pociągów zapobiegnie? Wartość temu pytaniu nadaje smutny wybuch w fabryce „Wulkan“: pękł w niej kocioł, który zabił dwoje ludzi, a pokaleczył kilkoro i pękł właśnie taki, który przed tygodniem był odrestaurowany i po raz pierwszy wypełniony parą. Czy tu nie występuje wyraźnie potrzeba dozoru? Zanim świeżo zbudowany most zostanie otwarty dla pociągów kolejowych, komisya rewizyjna pokrywa go lokomotywami i sprawdza, czy pod tym ciężarem nie osadzi się on niżej poziomu przewidzianego. Czemu kocioł ma być oddany bez próby i badania fabryce, w której działa śród dziesiątek lub setek ludzi, mogących przezeń utracić życie lub odnieść kalectwo? Logicznie tej *swobody* wytłomaczyć niepodobna. Robotnik dość ofiaruje ze swej pracy; niechże ona przynajmniej posiada warunki bezpieczeństwa. Nie wykazuję, jak je osiągnąć, niech o tem myślą specyaliści; ale sądzę, że to nie leży po za granicami możliwości. Opinia publiczna, której głos często bywa słuchanym, powinna sama zrozumieć i wszystkim wpajać to przekonanie, że para w przemyśle nie jest niewinnym obłoczkiem wody, lecz siłą potężną i groźną, że pracujący przy niej mają prawo do osłony ich życia od wybuchów, spowodowanych niedbalstwem lub fuszerką. Dają oni nam trudy rąk swoich — to dosyć, niepodobna, ażeby oddawali jeszcze i te ręce, oberwane odpryskami pękniętych kotłów. Pogłoski twierdzą, że w „Wulkanie“ przyrząd do mierzenia ciśnień pary popsuł się i ciągle wskazywał 8 atmosfer, że — według innej wieści — wskazywał dobrze, ale robotnik nie zwrócił nań uwagi itd. Są to wszystko jednak domysły bez wartości. Bo jeżeli wybuch zniszczył wszystko, ciekawa rzecz, jakim sposobem można teraz stwierdzić, że manometr źle działał lub że ktoś na niego nie patrzył? Natomiast nie ulega wątpliwości, że kocioł „przed tygodniem odrestaurowany“ pękł przy pierwszem ogrzaniu i że zbiorniki tak niebezpiecznej materyi wybuchowej, jak para, nie posiadają nad sobą należytej kontroli. A to stanowi rdzeń sprawy.

Jeżeli w tym wypadku nie jesteśmy zadowoleni, za to w innym do opinii publicznej rzec można: „kochanko, czegóż chcesz więcej“? W Zwierzyńcu warszawskim niedźwiedź zagryzł posługacza, który wszedł do klatki, nie zachowawszy potrzebnych ostrożności. Miasta, które posiadają zwierzyńce nie od lat paru i nie dla zabawy dzieci, przyzwyczaiły się do tego rodzaju smutnych zdarzeń, mających swoją przyczynę przedewszystkiem w oswojeniu się służby z drapieżcami i w lekceważeniu niebezpieczeństwa. Ale my, którzy ciągle doznajemy nowicyuszowskich zdziwień i oburzeń, musieliśmy poczuć żal do zarządu. Ktoś, znający widocznie obyczaje zwierząt z legendy biblijnej i pamiętający, jak one się grzecznie obchodziły z Adamem i Ewą, wywnioskował bardzo logicznie, że niedźwiedź rzucił się na dozorcę — z głodu. Rzeczywiście Goethe gdzieś powiedział, że nędza jest mocniejszą od prawa, ale wcale nie myślał o niedźwiedziach. Mimo to zarząd uznał, że należy dać satysfakcyę wyrażonej w ten sposób opinii i wykazać dowodnie swą niewinność. Naprzód więc skazano niedźwiedzia na rozstrzelanie i wyrok uroczyście wykonano, następnie — wywieszono „tłuste polcie“ jego dla przekonania widzów, że winowajca nie dopuścił się zbrodni z głodu. Serdecznie odczuwam nieszczęście zagryzionego człowieka i jego biednej rodziny, ale doprawdy owo pomszczenie jego śmierci bardzo przypomina mi te stany cywilizacyi, kiedy król perski wychłostał morze, a nawet kiedy odbywały się sądy nad kamieniami, które padając z góry, kogoś uderzyły. Gdyby ów rozstrzelany niedźwiedź ożył i mógł mówić, z pewnością powiedziałby:

— Szanowny zarządzie Ogrodu zoologicznego, ja jestem dzikie zwierzę, które nikogo nie napada, tylko się broni: zamknąłeś mnie w więzieniu, z którego chciałem uciec — to cała moja wina. Mali tancerze twoich letnich balów biją stół, kiedy się o niego uderzą, ale czyż ty powinieneś ich naśladować?

I mnie się zdaje, że zarząd Zwierzyńca wyszedł z równowagi, podrażniony niesłusznym zarzutem. Jaką jest kuchnia jego wychowańców, tego mógł dowieść inaczej, bez zabawnego wyroku. Wątpię zaś bardzo, czy kara wymierzona na przestępcy, odstraszy pouczającym przykładem żywych jego towarzyszów od zbrodni, o ile znajdą do niej sposobność. Chociaż na rozstrzelanie niedźwiedzia patrzyły lwy i wilki, nie radzę nikomu z ufnością wchodzić do ich klatek.

Ma on być dla wiecznego urągowiska wypchany i prawdopodobnie na którejś z wystaw okazany. Obecnie — prócz stałych, mamy trzy: wystawę sztuki stosowanej do przemysłu, obrazów p. Styki i przemysłową. Kiedy Napoleon I łupił Hiszpanię, najskwapliwiej zabierał jej obrazy. Przypuszczam, że gdyby obległ Warszawę, postawiłby takie warunki: załoga złoży broń, a miasto zapłaci pół miliarda fr. kontrybucyi lub Towarzystwo zachęty sztuk pięknych i Krywult oddadzą mi swoje malowidła. Nie próbowałem nigdy zsumować w obu zakładach cen podanych na ramach płócien, mniemam jednak, że one sięgają do takiej wysokości i że gdyby ta suma wzięta była za miarę bogactwa artystycznego naszych galeryj, należałoby je zaliczyć do najzamożniejszych. Setki i tysiące rubli przewijają się w nich na kartkach objaśniających tak obficie i śmiało, że rzadko gdzie występujące skromne dziesiątki aż się ru-

mienią ze wstydu. Dodać trzeba, że gdyby nawet ruble były kartkami tramwajowemi, żałowałbym wydać ich parę tysięcy za niejeden obraz z taką pretensyą. Nie ja sam, ale zapewne wielu zadawało sobie pytanie: dla kogo nasi artyści malują? Wątpię bowiem, ażeby w Warszawie było dwieście osób, chcących i mogących wydawać setki i tysiące rubli na obrazy. Albo więc owe wielkie ceny są niepotrzebną fanfaronadą, szkodliwą dla twórców i nabywców, albo też powinniśmy raz na zawsze rozstać się z myślą, ażeby malarstwo mogło kiedykolwiek stać się sztuką upowszechnioną. W takim razie będzie ono tylko, jak dotąd, zbytkiem garstki bogaczów i przyjemnością wielkich miast, posiadających wystawy stałe i galerye. Ogół nigdy z niego korzystać nie będzie. Do pewnego stopnia tak jest w całym świecie, ale u nas sami artyści jeszcze bardziej ograniczają ścieśnione pole zbytu dla swych utworów. Rozumują oni podobnie, jak kapitaliści, którzy wątpliwym dłużnikom wypożyczają pieniądze na wysokie procenty, wliczając w nie możliwe straty ryzyka. Ponieważ znajdują niewielu nabywców i muszą na nich długo czekać, więc naznaczają wysokie ceny. Ale pytanie, czy właśnie te bajeczne ceny nie odstraszają publiczności i nie wyrabiają w niej przekonania, że ten zbytek za wysoko dla niej wisi? Dowodem fikcyjności w tym względzie są znaczne ustępstwa przy sprzedaży. W sklepach żydowskich najwytrwalsze kobiety nie wytargują tyle przy kupnie towaru, ile obeznany z rynkiem artystycznym amator przy kupnie obrazu. To, co ma niby kosztować 200 rs., dostaje mu się za 100 lub mniej. Fakty te, bardzo liczne, przekonywają wymownie, że malarze nasi bądź dla jakiegoś szyku, bądź skutkiem trudności zbytu swych prac, wytworzyli sobie urojony cennik, który powinien uledz znacznej redukcyi i ustąpić miejsca rozumniejszemu szacowaniu.

Tenże sam objaw spotykamy w sztuce stosowanej do przemysłu. Trzeba mieć dochód dóbr ziemskich lub kamienicy, żeby posiąść tuzin filiżanek malowanych lub okładkę do albumu. Ponieważ ten rodzaj prac dopiero zaczął się u nas wylęgać, więc jego hodowcom zdaje się, że wyprowadzają na świat same białe kruki, które powinny być opłacane wagą srebra. Zajął on głównie kobiety, mierzące wartość owocu swych trudów ich ciężkością i niezwyczajnością. Skoro wszakże sztuka w przemyśle u nas rozwinie się — czego bardzo jej życzyć należy — zniknie ta drożyzna. Spojrzenie na garstkę przedmiotów, wystawionych w sali Towarzystwa zachęty, a ubogich ilościowo i jakościowo, przekonywa, że na tej drodze stawiamy zaledwie pierwsze kroki. Mojem zdaniem, należałoby je nieco zwrócić w innym kierunku. Dotąd głównie ozdabiane bywają pędzlem przedmioty użytkowe, które skutkiem tego zamieniają się na bezużyteczne i zbytkowe. Jeżeli talerz malowany przestaje służyć do jedzenia, a kubek — do picia, to malowanie talerzów i kubków po prostu niema sensu. Wprawdzie pokoje stołowe dotąd ubierane bywają starą porcelaną, rozwieszoną po ścianach, ale dogadza ona jedynie próżności lub słabostce archeologicznej i niema żadnej racyi, ażebyśmy na ten cel wytwarzali nową. Artystyczna ozdoba jakiejś rzeczy wtedy ma wartość i myśl, kiedy nie zmienia jej przeznaczenia, inaczej staje się figlem lub zabawką. I na podeszwie buta można odrysować „Kazanie Skargi,“ a na rądlu — „Jawnogrzesznicę,“ ale but i rądel przestają wowczas być butem i rądlem. To nie sztuka stosowana przemysłu, ale sztuka bezużyteczna.

Muzeum przemysłu i rolnictwa aż trzy piętra zajęło wystawą przemysłową. Spotkasz tu okazy dobrze z dawnych oględzin znajome, które można minąć przyjacielskim ukłonem, spotkasz wyroby cudzoziemskie, często licho wie po co przyjęte, spotkasz wreszcie świeże roboty miejscowe. Zapewne specyalista odnajdzie między nimi dowody postępu naszej techniki, ja tylko zauważę, że pomimo bałwochwalstwa dla francuzów, w przemyśle jesteśmy bardzo podobni do niemców. Zdobywamy się często na wyroby sumienne, trwałe, ale rzadko na oryginalny gust i wytworność. Proszę obejrzeć np. oddział zegarów lub galanteryi żelaznej!

W jednym z kącików wystawiono kapliczkę, złożoną z delikatnych patyczków, ustruganych zapomocą noża — lekkie, zgrabne i pomysłowe cacko. Wypracował ją kilkunastoletni chłopiec wiejski z okolic Poniewieża (gub. kowieńska), Ślarz, który niczego się nie nauczył, nie umie nawet czytać i pisać. Niewątpliwie artystyczna dusza tkwi w tym malcu. Czy ci, którzy jego rodzinny talent pokazali szerszemu światu, zajmą się ukształceniem go? Byłaby to szlachetniejsza i pożyteczniejsza ofiara, niż wydobywanie i szlifowanie kocich głosików śpiewaczek, które potem trapią nas na koncertach i w teatrach, a mają tylu opiekunów!

Na zakończenie dzisiejszej kroniki ciekawa wiadomostka. P. Siemieński, który śród odgłosu trąb, bębnów i piszczałek antigermańskich w prasie, podjął walkę z p. v. Kramstą, nieprawym jakoby dziedzicem dóbr i kopalń jego ojca, dostawszy 160,000 rs., zawarł z nim pokój. Po tym układzie nie wiem: czy p. S. sam wierzył w słuszność swych pretensyj, czy też wyssał tylko nieformalność prawną? W każdym razie nawet 160,000 rs. jest dość skromnym deszczykiem z wielkiej chmury, którą tak groźnie rozdzierały błyskawice mieniące się barwami politycznemi.

Poseł Prawdy

KRONIKA BIEŻĄCA

Pobór do wojska od d. 12 b. m. rozpoczął się w całem Królestwie Polskiem. Powołano lekarzy powiatowych do komisyj rekruckich, lecz nie w tych powiatach, w których urzędują. Przez czas badania popisowych lekarze będą pobierać po 60 kop. dziennie, nadto koszta podróży.

Cukrownicy Królestwa Polskiego uznali proponowane w Kijowie środki uwolnienia rynku od nadmiaru cukru za zupełnie słuszne i podpisali deklaracyę, w której zobowiązują się do wywiezienia 6% normy produkcyi po nad zwykłą ilość, przeznaczoną na wywóz za granicę. Przeprowadzenie tego wywozu dodatkowego jest zależne od zebrania podpisów na wywóz miliona pudów mączki. Ażeby dosięgnąć wymaganej ilości, w sali giełdy warszawskiej na zebraniu pełnomocników fabrycznych postanowiono odnieść się do 14 cukrowni w Królestwie Polskiem, które nie wysłały na zgromadzenie przedstawicieli, iżby jaknajprędzej podpisały uchwałę o wywozie dodatkowym.

Sędziowie śledczy. Specyalna komisya przy ministeryum sprawiedliwości opracowała szczegółowy projekt reformy wydziału śledczego. Sędziami śledczymi mogą być mianowane jedynie osoby, które w ciągu sześcioletniej służby w ministeryum sprawiedliwości wyróżniły się swemi zdolnościami. Nadto będzie wzbronionem powierzanie śledztwa kandydatom na posady sądowe. Jednocześnie mają być zwiększone środki pieniężne, asygnowane sędziom takim, w celu nadania im większej swobody przy samodzielnem prowadzeniu śledztwa. Stosunek sędziów śledczych do prokuratoryi będzie również zreformowany; tym ostatnim nadana będzie wszelka swoboda działania pod osobistą odpowiedzialnością.

Senat rządzący wyjaśnił, że kwity od składek, wnoszonych przez członków towarzystw naukowych, dobroczynnych itd., uwolnione są od podatku stemplowego.

Obostrzenie. W sferach rządzących postanowiono zalecić administracyi, aby energiczniej prowadziła poszukiwanie osób, za któremi wysłano listy gończe. W razie, jeśli poszukiwany znajdzie się w tem miejscu, gdzie go poprzednio nie wykryto, winni niedbalstwa pociągani będą do odpowiedzialności.

Wata, wyrabiana z włosienia wielbłądziego, ukazała się w handlu. W cenie spółzawodniczy ona z watą wełnianą.

P. minister oświaty, zwiedzając uniwersytet moskiewski, zwrócił się z mową do studentów. Chociaż ludzie młodszego pokolenia — powiedział — uważają starszych za bezwzględnych chwalców przeszłości, lecz przecież w tych czasach minionych wiele było dobrego: spokój w uniwersytetach, możność cichego nabywania wiedzy. Tak działo się za panowania Mikołaja I, o którym wiele niesprawiedliwych rzeczy popisano. Poczynając od r. 1857, uniwersytety stały się widownią rozruchów i nieporządków. Zasmucały one wielce zmarłego Cesarza Aleksandra II. Mowę swoją zakończył minister zapewnieniem, że młodzieży wiele rzeczy może się wydawać niezrozumiałemi i niesłusznemi. Wszakże wyjaśnień wszystkich młodzież powinna szukać nie w gronie ludzi podejrzanych, lecz u swych naturalnych przewodników, nauczycieli. Szczególnie unikać powinna pochlebców, którzy zwykli ją zwać „nadzieją Rosyi,“ jej „świecznikami,“ lub w tym rodzaju, albowiem pochlebcy ci gonią za interesowną, pogardy godną popularnością własną.

Nowa ustawa paszportowa za mieszkanie bez paszportu wyznacza karę wydalania administracyjnego. Obecnie komisya postanowiła osobom nieposiadającym paszportów, lecz wiadomym z pochodzenia, wydawać czasowe dokumenty dwu i trzymiesięczne z zobowiązaniem uzyskania legitymacyi z miejsc urodzenia tych osób. Za mieszkanie bez paszportu winni karani będą według art. 1220 kod. kar. i 61 ustawy o karach wymierzanych przez sędziów pokoju.

Zaspy śnieżne potworzyły się na kolei Griazie-Carycyńskiej. Na przestrzeni 264 wiorst bieg pociągów towarowych wstrzymano. Komunikacya osobowa wielce utrudniona.

Wystawę gazet z całej kuli ziemskiej, zawierających artykuły o śmierci cesarza Wilhelma I, oraz kilku broszur i poematów tej treści otwarto w Meiningen. Jest 250 egzemplarzy w 54 językach.

Bibliografia. *Encyklopedya rolnicza*, wydawana staraniem i nakładem Muzeum przemysłu i rolnictwa w Warszawie; zeszyt I-y zawiera: Słowo wstępne (L. Górski), Absorbcya (S. Jentys), Afryka (St. R.), Agent, Agio, Agrest (J. Kaczyński), Akacya, Akcya, Akcyza, Aklimatyzacya roślin (J. Aleksandrowicz) i zwierząt (K. Graff), Alkalia, Alkohol, Alkoholizm (Kaczkowski i Okolski), Aluwium (K. Jorkiewicz), Alun.

— A. Strzelecki *Kalendarz rolniczy* — notatnik, oraz część II, zawierająca wskazówki gospodarcze. Jest to jedyne u nas i ze znajomością rzeczy przygotowane wydawnictwo tego rodzaju.

Dwa stypendya na wyjazd za granicę po 600 rs. rocznie utworzył zarząd Towarzystwa sztuk pięknych przed dwoma laty. Od nowego roku skutkiem braku funduszów wydawanie tej zapomogi ustanie.

Nowy zakład. We wsi Ruda pod Opolem puszczono w ruch młyn systemu amerykańskiego, mogący przerabiać dziennie 700 korcy zboża.

Zlanie urzędów pocztowych z telegraficznymi nastąpi ostatecznie 13 stycznia r. p.

Prof. dr. Roeppel, autor historyi polskiej, obchodził we Wrocławiu 80-letni jubileusz.

W Krakowie ma powstać stowarzyszenie numizmatyków. Zadaniem jego będzie popularyzowanie umiejętności numizmatycznych, oraz uzupełnianie braków w tym zakresie.

Aptekarki. Departament lekarski otrzymał oświadczenia niektórych aptekarzów, iż w przyjmowaniu kobiet do aptek zachodzi wielka przeszkoda, gdyż osoby takie powinny mieszkać przy aptekach. Rada lekarska postanowiła w charakterze środka czasowego pozwolić przyjmować uczenice przychodzące.

Dla telegrafistów. Z Petersburga nadeszło zapytanie co do ilości urzędników telegrafu, mających mieszkanie w naturze. Według bowiem projektu reformy, wszyscy telegrafiści mają dostać w naturze mieszkanie lub dodatki pieniężne na najem.

Egzaminy farmaceutów w Warszawie ukończono. 18 kandydatów otrzymało stopień podaptekarzy z pochwałą, 50 — zwykły stopień.

Zjazd przedstawicieli dróg żelaznych austryackich, holenderskich, belgijskich, szwajcarskich i niemieckich odbył się w turynie. Obradowano nad taryfami bezpośredniemi między Włochami a wyżej wymienionemi państwami. Zauważono nieobecność przedstawicieli dróg ruskich i francuskich.

Zmarli. Bambergier, profesor wiedeński. Ur. 1822 roku w Pradze. W r. 1854 powołany został na katedrę patologii i terapii do Würzburga, w 1872 wezwany został do kliniki medycznej uniwersytetu

wiedeńskiego. Najpopularniejsze jego dzieła: „O chorobach serca,“ „O Baconie z Verulamu.“ Przed czterema laty odrzucił ofiarowane rektorstwo w uniwersytecie wiedeńskim, skutkiem wielkiego pognębienia po śmierci syna, który zginął w Tatrach.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Bol. Ł. w Międzygł. Jest tego bardzo wiele. Przesłaliśmy żądanie Pańskie księgarni Gebethnera i Wolffa, która zapewne odpowie na nie osobnym katalogiem.

P. Miecz. St. „Strofka“ zrymowana niezręcznie i niejasno. Niektóre wyrażenia wprost niezrozumiałe.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 4 Ноября 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski**